Nr. 8. Lwów, dnia 1. Sierpnia 1892. Rok XV.



PRENUMERATA ROCZNA: marek 5 złr., 5 rs. 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Z ŁOWIECKIEJ PRZESZŁOŚCI

napisał

Władysław Spausta.

V.

Rosomak.

Istną pociechę dla dawnych naturalistów stanowił rosomak, zwierzę, któremu w pracy niniejszej również wypada kilka słów poświęcić. Może właśnie dlatego, iż nie posiadano o nim prawie żadnych dokładnych wiadomości, grała tu wielką rolę fantazya, tworzono rozmaitego rodzaju legendy o rosomaku, a starając się coraz to bardziej upiększać już i tak piękny życiorys tego zwierzęcia, osiągnięto wreszcie skończony obraz jakiegoś monstra, odrębnego zupełnie od reszty żyjących istot.

Dawne opisy rosomaka, powtarzające się mniej więcej w tej samej treści w dziełach zoologicznych długiej kolei wieków, są tylko małą ale jaskrawą próbką, jak mało było ludzi samodzielnie badających i myślących nawet w szeregach tych, których zadaniem miał być nie dający się powodować byle czem sąd o rzeczach przyrody, nieuprzedzone oko, i wytwarzanie logicznych bodaj wniosków tam, gdzie realna nie sięgała wiedza.

Nie wiem, czy nazwa tego zwierzęcia, jaką go mianować mają niektóre szczepy fińskie na północy, czy też jakieś przesadzone wyobrażenie o jego żarłoczności u rozmaitych narodów północy i stąd powstałe nazwy — dość, że nazwa jego niemiecka *Vielfrass*, to *nomen et omen*, prześladujący go bezustannie, a spopularyzowany do tego stopnia, iż wielu z nas przypomni sobie może czasy, gdy w latach dziecinnych, maltretowany w najrozmaitszy sposób nauką niemczyzny, czytał pod obrazkiem, przedstawiającym jakiegoś spuchniętego smoka:

Vielfrass nennt man dieses Thier
Wegen seiner Fressbegier.

„Fiellfrass" tymczasem po fińsku oznaczać ma dosłownie „mieszkaniec skał", a jeżeli krajowcy mianem tym oznaczają rosomaka, to bardzo słusznie, bo w samej rzeczy zwierz ten w obecnej swojej ojczyźnie, to jest na północy niemal całej półkuli naszej, przekłada górzyste i skaliste okolice po nad równię. Wogóle zwierz to rzadki, trafia się jednak częściej w położeniach skalistych i lesistych Rosyi i Syberyi aż po Kamczatkę, oraz Norwegii i Szwecyi, gdzie prowincya Jemtland ma być jeszcze dotąd eldoradem łowów

rosomakowych. W roku 1891 miano tam ubić obok licznej zwierzyny 26 niedźwiedzi, 27 rysiów i 97 rosomaków. (Ill. J. Z. Leipzig. str. 281). Przebywa wreszcie rosomak i w całej do krajów arktycznych należącej Ameryce północnej, gdzie, go „wolwerne“ zowią.

Jeden z dawniejszych autorów, którego zresztą wielce zasłużone nazwisko przemilczeć wolę, skoro wywlec muszę na świat jego grubą pomyłkę, tak opisuje rosomaka: „W Litwie i w Moskwie jest zwierzę bardzo żarłoczne, nazwiskiem rosomak. Jest on wielkości psa, ma oczy jak kot, silne pazury, skóra długim brunatnym włosem pokryta, a ogon jak u lisa. Jeżeli nadybie ścierwo, to żre tak długo, póki mu się skóra na brzuchu jak bęben nie napręży, następnie przesuwa się pomiędzy dwa blisko stojące drzewa, aby się co prędzej wypróżnić, co gdy nastąpi, powraca co rychlej do ścierwa, a najadłszy się, znów powtarza to samo, póki wszystko ścierwo nie zeżre. Zdaje się, iż więcej niczem się nie zajmuje, tylko żre, pije i...“

Naiwne to opowiadanie jest jednak o tyle ważnem, iż stanowi dokument właśnie w tem miejscu, gdzie ich tak mało posiadamy, jest więc świadectwem oczywistem pobytu rosomaka w granicach naszych w 16-em stuleciu.

Inny XVI-go wieku naturalista, opisując w sposób bardzo podobny rosomaka, wie o nim jeszcze więcej, a w końcu dodaje z całą powagą nauki: „iż wszyscy ci, którzy noszą futra rosomakowe, zarażają się niepowściągliwą żądzą jadła i napoju“. *(Olagi Magni „Historien der mitternächtigen Länder*, tłum. w 1567). Naturalnie, że w opisie tym stanęła już legenda żarłoczności rosomaka na punkcie kulminacyjnym, bo nawet śmiertelne szczątki zwierzęcia wydzielały z siebie jakiś rodzaj zarazków głodowych, chociaż na szczęście nic jeszcze o bakteryach i zarazkach nie wiedział zacny biskup upsalski.

Po takim opisie, znajdowali się późniejsi autorowie dzieł przyrodniczych w dość smutnem położeniu; nie można już było niczego dodać do monografii rosomaka, to też zdania, wypowiedziane raz o tem zwierzęciu przez wysokiego dostojnika, w którego ojczyźnie rosomak się znajdował, przepisywano żywcem niemal aż do połowy XVIII. wieku. Ogół był przekonany o tej prawdzie, a w dykcyonarzu Troca z 1779 znajdujemy następujący lakoniczny opis rosomaka: „Jest to zwierzę czarne, wielkości psa i bardzo obżarte“.

Dopiero gwiazda, która na północnem niebie dla przyrodoznawstwa w osobie wielkiego Lineusza zaświtała, dotknęła również jednym ze swych promieni przyrodę rosomaka, postawiwszy w świetle prawdy to zwierzę, uwikłane dotąd w fatalności swego nazwiska.

Kształtami ciała do niedźwiedzia, a uzębieniem do rodzaju kun podobnego rosomaka, zaliczył już Lineusz do rzędu ostatnich, a charakterystyczne cechy uzębienia, na jakie zwrócił uwagę, przetrwały nieobalone aż do naszych czasów. Jakoż i w najnowszych dziełach zoologicznych spotykamy rosomaka w rzędzie kun, po niemiecku pod dawnym fatalnym nazwiskiem *Vielfrass (Gulo borealis)* po skandynawsku „jerf“, mający oznaczać to samo, co *Vielfrass*, jakkolwiek niektórzy z nowszych autorów niemieckich wprowadzili już zmianę na lepsze i nazywają rosomaka z fińska Fjellfrass. (Rörig).

Skryty sposób życia, jaki ten zwierz prowadzi i trudność ułowienia go żywcem, wskutek czego jest zawsze rzadkiem zjawiskiem w menażeryach i parkach zoologicznych, są przyczyną, dla której jeszcze podziśdzień bardzo sprzeczne o nim mamy wiadomości. To pewna jednak, iż rosomak nie odznacza się bynajmniej jakąś nienasyconą nigdy żarłocznością, je tyle, ile organizm jego potrzebuje i znosi, a dawne wyobrażenia wyjaśniły się pod wpływem znanej jego drapieżności, wspólnej wszystkim kunowatym. Są to najstraszniejsze drapieżniki, które częstokroć mordują, jakby się zdawało, dla przyjemności i ofiary nietknięte pozostawiają. Na widok zdobyczy ogarnia ich jakiś szał mordów, a żądza mordowania w rodzaju tym zwierząt jest tem silniejszą, im słabszym i mniejszym organizm; dowodem tego maleńka łasiczka, ów najstraszniejszy drapieżnik w naszej faunie, ten z gibkością węża poruszający się ssak, którego życie jest jednem pasmem mordów, bezustannem dybaniem na wszelkie życie, które tylko pokonać i zniszczyć może. Rzeczywiście, do wydobycia tej ruchliwości, energii, stosunkowo olbrzymiej siły, potrzeba chyba owego elixyru życia, który drapieżce te w ciepłej krwi dyszących jeszcze ofiar znajdują.

Jakkolwiek u największego z rodzaju kun, w omawianym rosomaku, nie występują tak jaskrawo objawy drapieżności, gdyż ma pożerać i padlinę, jak to utrzymują podróżnicy, zwiedzający jego ojczyznę obecną, to jednak jest on zawsze skończonym drapieżnikiem, przed którym żadne zwierze tej strefy nie czuje się bezpiecznem. Pożerając głównie drobne gryzonie, a w szczególności lemingi, jest on postrachem całej fauny, bo nawet łoś i ren padają pod jego strasznymi zębami, a zdarzały się wypadki, że zagryzał i krowy. (Thunberg).

Gdybyśmy nawet z niedowierzaniem przyjęli te wiadomości, pochodzące zazwyczaj z ust podróżników, którzy nie będąc świadkami takich objawów, słyszeli o czemś podobnem od krajowców, to podania te ilustrują choć znaczenie, jakie zajmuje rosomak jako zwierze drapieżne w wyobrażeniu tych, którzy go mogą znać najlepiej.

Ten postrach fauny północnej zamieszkiwał, jak świadczą o tem dzieje, w późnych już czasach historycznych nasze ziemie, a osobliwie miał być nie rzadkiem zjawiskiem w dzielnicach północnych, na Litwie i Żmudzi. Kiedy rosomak u nas zaginął i czy już zupełnie zaginął? o tem trudno coś pewnego wyrzec, gdyż skryte to i przeważnie nocne zwierzę potrafi długie czasy wlec niepostrzeżoną egzystencyę w jakichś zaułkach kraju, nie potrzebując zdradzać się niezwykłą drapieżnością, skoro w obficie znajdujących się tam drobnych gryzoniach rozmaitego rodzaju dostateczną znajduje żywność. Każda mniej więcej knieja kryje mnóstwo najbliższych jego pobratymców, i gdyby nie tropy na białej stopie, nie wiedzielibyśmy, czy w lasach tych i owych znajdują się kuny, tchórze i t. p.

Podobnie jak te zwierzęta, tak i rosomak nie był i być nie mógł przedmiotem umyślnych na niego łowów, lecz stawał się albo przypadkową zdobyczą w łowach na innego zwierza, tak jak to obecnie i z kuną lub tchórzem się zdarza, albo należał do tak zwanego chłopskiego polowania, które żadnej po sobie reklamy nie pozostawia, i tylko w statystycznych wykazach z handlu skór znachodzi swój wyraz. Ponieważ zaś czasy dawne, gdy rosomak należał do stałych przedstawicieli naszej leśnej fauny, wcale się takimi rzeczami, jaką jest statystyka skór, nie zajmowały, urywa się więc ta jedyna pewna nić, po której dojśćby można było do jakiejś takiej wiedzy o ilości ubitych w jakimś kraju zwierząt.

Nie wiadomo mi, z jakiego źródła pochodziła wiadomość, rozgłoszona przez rozmaite swego czasu dzienniki, iż na Litwie w r. 1879 ubito rosomaka; wiadomość tę powtórzyły i dzienniki zawodowe, a pomiędzy innymi i „Łowiec“

(r. 1879 str. 46). Wobec tego, co już powyżej wypowiedziałem, nie mam powodu powątpiewać o prawdzie tej wiadomości, pomimo, że fakt podobny należy do fenomenów w historyi łowiectwa, fenomenów, które jednak jeszcze nieraz powtórzyć się mogą w przyszłości. Z przytoczonych powodów nie można się zbyt wiele dowiedzieć o rosomaku i z kroniki łowieckiej, a w tradycyi zatarło się to zwierzę w południowych dzielnicach polski, co wskazuje, iż bardzo dawno już zaginąć musiał rosomak na tych ziemiach a do ostatnich czasów zatrzymały go jedynie ku północy położone lasy i puszcze Litwy i Żmudzi, podobnie jak wiele innych zwierząt, należących niegdyś do fauny całej środkowej Europy.

Łatwo zrozumieć, że z pomiędzy zwierząt, należących do zimnego podniebia, zwierzęta drapieżne, mięsożerne dłużej mogły się ostać wśród zmienionych warunków klimatycznych, niż zwierzęta roślinożerne, którym zmieniona szata roślinności odjęła wszelkie dalsze warunki bytu. Rosomak przeto, jako jeden z reprezentantów owej licznej fauny podniebia zimnego, jako wyłączny mięsożerca, nawet w zmienionych warunkach klimatu znajdował jaką taką możność egzystencyi, bo nie brakło tu nigdy zwierząt, którymi się żywił.

We wstępie do pracy niniejszej wspomniałem już pobieżnie o okresie zlodowacenia krajów środkowej Europy w epoce dyluwialnej; w tem miejscu zaś, omawiając historyczną przeszłość rosomaka na naszej ziemi, zmuszony jestem nieco bliżej dotknąć tej przeszłości dalekiej, która pod względem fauny oryginalne na naszych ziemiach sprowadziła objawy Obchodzić nas tu może jedynie fakt sam, fakt niezaprzeczony, a powody ku temu, jakkolwiek bardzo ciekawe, jednak wspierające się dotąd tylko na hypotezach i teoryach mnożących się z każdym rokiem, zająć nas mogą o tyle, o ile zarazem tłumaczą zmiany klimatyczne aż do naszych czasów i o ile stawiają w tym kierunku niezbyt pocieszające horoskopy.

Wśród teoryj najrozmaitszych, szukają niektórzy przyczyny owych klimatycznych zmian na naszym globie gdzieś w niepojętych przestworach wszechświata, w którym wraz ze słońcem i całym systemem planetarnym odwieczną podróż odbywamy, inni zaś odnoszą je do przyczyn astralnych, a w szczególności do jakichś zmian w słońcu i tem spowodowanych zmian w ogrzewaniu. Wśród tego wszystkiego wyróżnia się teorya francuzkiego matymatyka Adhémara, szukająca w ekscentryczności obiegu naszego planety około słońca powodu owych zmian klimatycznych w pewnych okresach czasu, i peryodycznego tychże powrotu naprzemian na obu półkulach naszego globu. Zdaniem jego oziębia się zawsze półkula północna, gdy się ogrzewa południowa i przeciwnie. *(Adhémar Alfons. Revolutions de la mer, déluges periodiques).*

Według kombinacyj, chcących w cyfry ująć czas powrotu okresu lodowego, znajdujemy się obecnie na naszej półkuli w stadyum oziębiania się temperatury, której kulminacyjny punkt ogrzania przypadać miał na 12 lub 13 wiek naszej ery. Wprawdzie niema ku temu pewnych d wodów, skonstatowano jedynie, iż od 800 lat posuwają się ku dołowi lodowce alpejskie i zacieśnia się granica uprawy pewnych roślin ku południowi, a w szczególności uprawa wina — lecz te i inne objawy każą się domyślać, iż w samej rzeczy zbliżamy się zwolna ku niezbyt pocieszającej przyszłości.

Aż strach zbiera i mróz przechodzi po ciele na samą myśl o losie tej biednej ludzkości, której głośny Falb w 6400-ym roku naszej ery nowy przepowiada potop! Pocieszajmy się chyba tem, iż potop połączony ze zniszczeniem wszelkiego życia organicznego nie jest fizycznie przypuszczalny, i że nie stwierdzają takiego zupełnego zniszczenia ostatnie okresy lodowe, ani też spodziewać się mogą czegoś podobnego zwolennicy teoryi genialnego Francuza w tym wypadku, gdyby ta teorya miała być w samej rzeczy nieubłaganem prawem natury.

Ród ludzki, jeżeli przed czasem nie wyrodzi się fizycznie i dotrwa epoki przyszłego zlodowacenia, przetrwa ją tem bardziej, że przetrwał ją i człowiek przedhistoryczny, bo okres ten nie zastanie już na ziemi nieudolnego troglodyty, ale potężnego a mądrego bohatera, który wyrwał niebu pioruny i umiał na swą korzyść wyzyskać dawne bóstwa w kształcie okiełzanych żywiołów, a w przyszłości może potrafi tymi samymi środkami na wielką skalę zwalczyć teluryczne katastrofy, jakie zagrażać mogą bytowi jego plemienia.

Ale wróćmy z tej wędrówki wyobraźni w czasy przyszłe do przeszłej rzeczywistości, którą nam geologii karta odkrywa.

Kilkustopniowe obniżenie się przeciętnej temperatury pokryło na naszej półkuli trwałymi pokładami zlodowaciałego śniegu wielką część krajów Europy środkowej i całe pasma gór Pyrenejskich, Alpejskich i Karpackich. Od północy począwszy, sięgały lodowce aż po południową kończynę wysp brytyjskich, na kontynencie zaś przebiegała linia zlodowacenia poniżej ujścia Renu, przez Niemcy powyżej Harcu i gór Kruszcowych, zajmowała góry Olbrzymie, ciągła się dalej ku wschodowi przez miejsca, gdzie dzisiejszy nasz Kraków i Lwów, i biegła poniżej Kijowa w mocnych krzywiznach aż pod Saratów, wciągając wszystkie te ziemie w teren zlodowaciały. Reszta krajów Europy środkowej, nie pokryta lodowcami w owem stadyum największego obniżenia się temperatury, stała się teatrem oryginalnej fauny, której śladów nie można odszukać w epoce, poprzedzającej okres zlodowacenia. Zwierzęta te, pospołu z epigonami gatunków okresu przedlodowego, zamieszkiwały jakiś czas środkową Europę. Wykopaliska z tego czasokresu z jednych i tych samych warstw dyluwialnych, dają nam wyobrażenie o takiej różnorodnosci gatunków, jaka ani przedtem ani potem już nigdy nie istniała. Zwierzęta, należące dziś do rozmaitych sfer klimatycznych, składały swe kości obok równocześnie żyjących a dawno już wymarłych gatunków. Małą próbkę tego mamy i na własnej naszej ziemi, a w szczególności w wykopaliskach ojcowskich i w grocie mamutowej pod Krakowem. I tak n. p. w grotach w Ojcowie znaleziono obok oczywistych śladów istnienia człowieka następujący szereg reprezentantów rozmaitych stref, (z których tylko większe zwierzęta wymieniam): niedźwiedzia jaskiniowego, renifera, konia, nosorożca, mamuta, lwa jaskiniowego, hyenę, wilka, lisa polarnego, lisa zwykłego, kunę, tchórza *(Zeitschrift der Geolog. Geselschaft. XXXII. p. 483. A. Nehring).* Przypadkowo nie znaleziono tutaj szczątków rosomaka, jednak sprawdzono go w bardzo wielu innych miejscach w pokładach równoczesnych, i odróżniono nawet trzy odmiany tego zwierzęcia, *Gulo spelaeus*, *Gulo luseus* i obecnie żyjącego *Gulo borealis*.

Jakkolwiek, sądząc po ilości znalezionych szczątków w Przedmoście na Morawii, w Schussenried i koło Würzburga, zdaje się, że nigdy licznym rosomak niebył, to zato znów daleko na południe posuwał swe siedliska, bo sprawdzono go aż w Dalmacyi. W miejscach tych częstokroć

szczątki rosomaka znajdywały się znów pośród innych okazów współczesnej fauny, a mianowicie prócz zwierząt, które wyliczyłem już z grot ojcowskich, byli tam jeszcze dzisiejsi górskich turni mieszkańce, koziorożec, kozica i bobak.

Według tego, co tu powiedziałem, zdawaćby się mogło, iż w samej rzeczy w pewnym okresie dyluwialnej epoki, wszystkie owe zwierzęta żyły pospołu w jednym czasie i na jednem miejscu; jednak to, co nam może się zdawać współczesnem, tam, gdzie najsumienniejsze badania nie mogą oznaczyć różnic czasu — istniały w rzeczywistości wielkie czasowe różnice. W zmiennej kolei, jaką w ostatniej epoce geologicznej Europa przechodziła, grupowały się prawdopodobnie i zwierzęta różnych stref wedle zmieniających się stosunków, wskutek czego powstało owe chaotyczne pomieszanie ich kości, pozornie współczesne, a w istocie oddzielone długimi według naszego pojęcia, a znikającymi dla geologii wiekami. Mięszały się nawzajem owe szczątki tem bardziej w siedliskach ówczesnych troglodytów, gdyż były to resztki zdobyczy łowieckiej, gromadzące się w grotach, które musiały być przez długie koleje wieków jedynem mieszkaniem i schronieniem ludzkich pokoleń.

Zlodowacenie i wytwarzanie się to stepów, to znów lesistych puszcz naprzemian, dały czasowe warunki do przebywania zwierząt, położeniom takim właściwych, i do owej zagadki, jaka się wyłania wobec widoku tej masy gatunków zwierząt dyluwialnych.

Kolosy zwierząt z epoki przedlodowej, przetrwawszy najkrytyczniejszą epokę obniżenia się temperatury, ustępują w zagadkowy sposób właśnie w chwili, w której trudno odkryć ku temu powody w stosunkach kosmicznych naszego globu. Początek robi potwór przedlodowej jeszcze epoki, ów zwierz-troglodyta, niedźwiedź jaskiniowy, *(Ursus spelaeus)* snać wyparowany ze swych siedlisk przez troglodytę-człowieka; w ślad za nim gubią się w łonie wieków roślinożercze kolosy, mamuty, nosorożce itp., a fauna europejska zaczyna coraz to więcej zbliżać się pod względem gatunków do tego obrazu, jaki spotykamy na tych ziemiach w świetle czasów historycznych.

Lecz i tak już może zadługo zatrzymałem się pośród dalekiej przeszłości, czas zatem przesunąć się myślą naprzód, gdzie już naocznych świadków pisane słowo kreśli nam stosunki środkowo-europejskiej fauny. W chwili tej, w której nam wielki Rzymianin opisuje niektóre zwierzęta fauny środkowo-europejskiej, a od której nas 2000 lat dzieli, nie wiemy wprawdzie nic o pobycie rosomaka w tych krajach; natomiast nie uszło uwagi Caesara zwierzę, znajdujące się w jego czasach w lasach hercyńskich, które według jego słów „nigdzie dotąd nie było widziane“. Opis jest tego rodzaju, iż bez wszelkiej wątpliwości odnosi się do rena, owego mieszkańca niemal całej Europy środkowej w czasach ubiegłych *(J. Caesar de bello gallico cap. XXVI)*, owego współziomka rosomaka w chwili obecnej. Autor najwyraźniej mówi, iż obie płci u tych zwierząt noszą rogi, co niema miejsca u innych pełnorożców europejskich. Prawdopodobnie zatem w czasie, gdy jeden z najgenialniejszych ludzi opisywał rena w krajach środkowej Europy, skryty rosomak należał również do fauny tych krajów, musiał zatem i na naszych ziemiach być pospolitym jako resztka owej arktycznej fauny, która od wieków już się znajdowała w pochodzie na północ, w miarę, gdy stosunki klimatyczne dalszym ulegały zmianom.

Widocznie jednak rosomak w stosunku do rena opóźnił swą na północ wędrówkę, gdyż jest mieszkańcem puszcz naszych jeszcze wtedy, gdy już ledwie namacalne ślady pobytu rena w granicach ziem naszych dadzą się odnaleść, pomimo, iż chciano go jeszcze w 14-ym wieku odszukać daleko na południu, bo w paśmie gór pyrenejskich. Co do naszego rena w czasach historycznych, nie dowody, ale wiele za sobą mówiące wskazówki znajdujemy w Czackiego dziele o litewskich i polskich prawach (Tom. II. pag. 284, wydanie Turowskiego 1861), które ze względu na powagę tego autora i odpowiednio przyjąć należy. „Za Aleksandra króla, powiada Czacki, mamy ślady, że w puszczach na Żmudzi zabijano „betsy“, podczas gdy według twierdzenia Buffona rena nazywają w części Lapponii „betsoi“. „Tego nazwiska do innego zwierzęcia stosować nie można“ dodaje Czacki, a zgodzić się musi każdy na to twierdzenie, tem bardziej, że miejscowa nazwa podobnego renowi łosia brzmi zupełnie inaczej, bo zwierz ten zowie się „bredis“ na Litwie i Żmudzi.

Statut litewski nie wspomina wcale o rosomaku, a ze zwierząt drapieżnych przytacza tylko małego sobola, widocznie zatem rosomak już wtenczas uważanym był za plagę łowiectwa i dobytku, i wyjęty z pod prawa, a łowy na niego chyba tylko przez uboższe stany były wykonywane w sposób, nie nastręczający zbyt wiele przyjemności. Że zaś w wieku XVI-tym zwierz ten należał do zwykłych na Litwie zjawisk, udowadnia dekret Zygmunta Augusta z r. 1557 (w art. 23) „dozwalający chłopom na włokach własnych zabijania lisów, wilków, r o s o m a k ó w i zajęcy“.

Jestto najważniejszy dokument, jaki o naszym rosomaku posiadamy, gdyż wszelkie inne o nim podania są bardzo wątpliwej wartości. Szczegółowych opisów lasów i puszcz Litwy i Białej Rusi z późniejszych wieków wcale nie posiadamy, prócz pobieżnych wzmianek w Bielskim, Stryjkowskim i Rzączyńskim, i to specyalnie o puszczy Grodzieńskiej czyli Białowieskiej, w której postać żubra przyćmiewa wszystko, a tem bardziej skrytego i niewzbudzającego wiele interesu rosomaka. W opisach zaś puszczy Białowieskiej i jej natury, już w bieżącym stuleciu o rosomaku żadnej wzmianki niema. Być więc może, iż zaginął rosomak w puszczy, ale żył w pamięci ludzi, i tu go odszukał wielki poeta, niezrównany malarz przyrody rodzinnej Litwy, i dla późnych pokoleń zaczarował postać rosomaka na rodzimych drzewach tej puszczy, z którą być może, niedawno dopiero się rozstał.

„Za tą mgłą nakoniec, jak wieść gminna głosi,
. . . . mają swoje dwory
Dawny tur, żubr i niedźwiedź, puszcz imperatory,
Około nich na drzewach gnieździ się ryś bystry
I żarłoczny rosomak“....

(C. d. n.)

Wiecznie to samo.

Wróciliśmy z rykowiska. Zbigniew jako zagorzały myśliwy, ja jako artysta, wracaliśmy z nowymi wrażeniami. Za nami wieziono ślicznego ósmaka, a pani Jadwiga już na ganku klaskała w rączki widząc tę pyszną zdobycz. Ubił go Zbigniew jednym celnym strzałem w komorę. To też zaledwie zeskoczył z wózka na ziemię, odgarnęła mu pani Jadwiga płową czuprynę z pięknego czoła, podkręciła bujne wąsiki i tak go po polsku, szczerze wycałowała, żem się aż odwrócił, żeby im nie przeszkadzać.

— Chwat mój mężuś! — mówiła pani Jadwiga biorąc Zbigniewa małą rączką pod brodę i śmiejąc się jak swawolne dziecko — chwat mój mężuś! Zawsze się dobrze spisze!

I znowu nastąpiły śmiechy, uściski, całowania, a z oczów takie padały błyskawice, że aż się gorąco robiło. Szczególniej piękna szrama, ciągnąca się przez lewy policzek Zbigniewa aż ku szyi, została wśród wybuchów srebrnego śmiechu obcałowana.

Ale my nietylko z jednym przyjechaliśmy jeleniem. Przywieźliśmy i drugiego, strasznie pokaleczonego i z pogruchotanymi badylami, który nie był właściwie niczyją zdobyczą, ani Zbigniewa ani moją.

— A jakżeście go dostali? Jakże to było? No, powiedz mężusiu, no, powiedz, bo inaczej nie dostaniesz herbaty — nacierała pani Jadwiga, stawiając czajnik na samowarze.

Tymczasem zeszedł już i księżyc wielki, pomarańczowy i łamiąc swe promienie z ostatnimi blaskami zachodniej zorzy, zaglądał przez szerokie okna do sali jadalnej.

— No, mów mężusiu zaraz, bo cię podrapię — nacierała pani Jadwiga stojąc za Zbigniewem, przyczem objęła mu głowę jedną ręką, a drugą zwróciła pazurkami do oczów.

— Otóż tak było, ty drapieżna łasiczko — zaczął Zbigniew, całując różowe pazurki — gdyśmy stanęli na szczycie Łysicy...

— Za pozwoleniem! — rzekłem, wpadając mu w słowo — początek należy do malarza. Najprzód musi być tło, potem dopiero akcya...

— Dobrze! Malnj pan! — zawołała pani Jadwiga wesoło

— Gdyśmy zsiedli z wózka pod leśniczówką — było jeszcze całkiem ciemno. Mgły snuły się smugami i zalegały całą dolinę jak falująca powierzchnia morza. Lasy kurzyły się gęstym, ciężkim oparem, z poza którego przebijały czasami ostre kontury świerków. Ze wszystkich gór, ze wszystkich ziół, z całej natury jak ze stołu bogato zastawionego szedł chłodny powiew, jakiś taki pełny, sycący, krzepiący, że pierś napełniała się nim jak eliksyrem życia, a siły zdawały się zdwajać, olbrzymieć... Cóż się dziwić tym biednym rogaczom, że ich taki nadmiar życia rozpiera! Cała płodność natury, cała siła rozrodcza tych milionów nasion, które słońce w ciągu lata z kwiatów wyprowadziło, wszystko to gra w ich krwi, rozdyma ich nozdrza, zapala ich namiętność. To też jeszcze wschód płonąć nie zaczął, zaledwo mgła jęła jak papier woskowy przeświecać, zaledwo jaśniejszych rąbków dostały dymy z kniei wstające — a już rozległ się urywany, namiętny, tęskny a dziki ryk jelenia i wkrótce potem drugi. Muzyka tych dwóch ryków, to zbliżających się to oddalających, nabrzmiewających gniewem, grożących sobie wzajem a zawsze namiętnych, szczególnie była uroczą w tej zawierusze mgieł...

— Za pozwoleniem! — przerwał Zbigniew — zakaż mu mówić Jadwisiu, bo jeszcze ci zacznie wschód słońca opisywać.

— A więc dobrze, *fiat lux!* niech się stanie światło, już jest wschód słońca, teraz ty masz głos — rzekła pani Jadwiga, zwracając się ku mnie z paluszkiem na ustach.

Umilkłem. Zbigniew tak mówił dalej:

— Biegliśmy pod górę jak wściekli, pot lał się z nas potokami, a od chwili do chwili, gdy żwir usunął się pod nieostrożną stopą i leciał z hałasem do potoku — zatrzymywaliśmy się, żeby nie płoszyć zwierza i zaczerpnąć oddechu. Było już dosyć jasno, gdyśmy stanęli pod samym szczytem Łysicy. Zmienne odgłosy beków myliły nas, czasem łudziło nas echo, jużeśmy chcieli posunąć się w prawo, gdy wtem tuż przed nami, niedaleko skał, tworzących nagłą przepaść, zatrząsł się gąszcz od zażartej walki. Było w tej walce coś takiego, co i w naszych nerwach żywszy prąd pobudziło. Jakiś zapach nieznaczny, a przecie ostry, pobudzający, jakby woń krzemienia, ciskającego iskry pod uderzeniami stali, albo elektryczności pryskającej z kumulatora, rozchodził się z wyziewami ziół, obwieszonych bujną rosą. Nie widzieliśmy nic, prócz krzaków gwałtownie poruszanych, słyszeliśmy tylko dreptanie racic, sapanie i suchy łoskot rogów, uderzających o siebie — a przecież drzeliśmy ze wzruszenia. Serce biło mi mocno i szybko, ręka się trzęsła, nie byłem w tej chwili zdolny do strzału. Ale trwało to tylko chwilę, jak ów bój zawziętych rywalów w gęstwinie. W głębi, na prawo, na samym szczycie Łysicy, za welonem mgły, roztapiającej się w karmazynowych blaskach świtu, rysowała się sylweta trzech, stojących blisko siebie łań. Stały one jak z kamienia, z wytężonymi do góry „łyżkami“, czekając na koniec walki. Płowe były jak cienie, tylko w ich „świecach“ łamały się czerwone światła wschodu.

Uspokojony, zwróciłem znów oczy na plac walki z bronią podniesioną do góry, z palcem na cynglu. Krzaki trzęsły się ciągle, ziemia drżała, gdy wtem na tle przesmyku, którym się otwierał widok ku przepaści, ukazała się czerwonopłowa połeć jelenia. Jeden się cofał i przypadł na kolana, drugi z łbem na dół spuszczonym wymierzał jeszcze cios okrutny. Zatrzeszczały rogi, lecz w tej chwili muszka mej dubeltówki nakryła komorę zwycięzcy i padł strzał... Ach, gdybyś była widziała, te krwawe płomienie, które strzelały z jego świec, gdy nacierał na przeciwnika! Ale padł jak bohater, jakby gromem rażony, ani drgnął...

— Ach, szkoda! — wyrwało się z ust pani Jadwigi — taki waleczny...

— Gdyśmy przyszli na miejsce — kończył Zbigniew — byliśmy zdziwieni, co się stało z drugim zapaśnikiem, bo zdawało nam się, że był mocno ranny i nie mógł daleko pomykać. Lecz zagadka wnet się wyjaśniła. U stóp skały, w głębokim jarze, leżał już martwy, a w takiem oddaleniu, że podziwiać było trzeba olbrzymią siłę, z jaką przez rywala został strącony. Ma cały bok rozdarty i na karku szramę dłuższą niż moja — dodał Zbigniew z uśmiechem, wskazując na swą bliznę.

— Fe, mężusiu, co za porównanie!— zawołała pani Jadwiga.

— Cóż chcesz — odparł Zbigniew — czyż to nie jest taka sama, wiecznie jedna historya?

— Jakto? Czyżby to była szrama od rogu jeleniego? — zapytałem ze zdziwieniem.

— Ach ba! Od rogu! Od rywala mój drogi! — zawołał z uśmiechem Zbigniew. Lecz prawda, ty nic o tem nie wiesz. Posłuchaj.

Pani Jadwiga próbowała protestować, chciała udowodnić, że to należy do tajemnic, które tylko między nimi dwojgiem zostać powinny — lecz wreszcie uległa moim prośbom, i Zbigniew tak zaczął mówić:

— Rozmaicie kojarzą się małżeństwa: ród szuka rodu, majątek goni za majątkiem, lecz przyznasz mi, że na seryo można mówić tylko o takich małżeństwach, gdzie serce szuka serca. Naszego związku nie stworzyło ani przyzwolenie ludzkie ani uroczysty akt kościoła — leżał on już przedtem w usposobieniach naszych, w sercach naszych, w krwi naszej. Gdy więc i trudności stanęły temu związkowi na zawadzie, należało im stawić czoło i zwalczyć.

Ta pani — mówił dalej Zbigniew patrząc z uśmiechem na żonę — nie była łatwą do zdobycia. Najprzód sama w sobie stawiała mi opór. Główka to ambitna, wola stanowcza, temperament zapalny — walczyła więc z sobą i ze mną, aby nie uledz mej woli. A znalazłem przy jej boku wzdychającego Adonisa, z którym się bawiła jak kotka z myszką, bo rozpłynąwszy się cały w uwielbieniach, nie mógł i nie umiał jej woli swej przeciwstawić.

Ja byłem ugodzony w serce na wieki i postanowiłem nie odstępować. Jelenie walczą o swe towarzyszki, dlaczegoż jabym nie mógł podjąć walki? W miarę, jak napierałem, zdawała się moja łania uciekać pod skrzydła rywala, ale z pod tych skrzydeł spoglądała ukosem na mnie i studyowała. To mi raniło boki jak ostrogą, to też jak tabun rasowy rwałem się naprzód.

Pojmiesz, że w takich warunkach nie mógł być mój stosunek z Adonisem jak najlepszy. Chodziliśmy koło siebie jak krzemień i krzesiwo — najlżejsza sposobność — a mogły się posypać iskry...

Przyszła nareszcie chwila stanowcza. Mogła mi być porwaną, mogła frunąć, mogła nakłonić ucha ciociom i wujciom, którzy przemawiali za Adonisem — postanowiłem zatem przyspieszyć szturm ostateczny. Zresztą, czy ja wiem, czego wówczas chciałem? W głowie mi się paliło, siadałem na najszaleńszego konia, aby znaleść spokój, zrywałem się ze snu i chciałem biedz, aby ją uwieść na koniec świata.

W takim byłem stanie, gdy nadeszły imieniny jej ojca i liczne sąsiedzkie zebranie. Czas był taki piękny jak dzisiaj, pora nieco wcześniejsza, koniec lata. Ogród, przepełniony zapachami kwiatów, wabił wieczorem między swe klomby i aleje. Nie wiem, jakim sposobem oderwaliśmy się od innych i zostaliśmy sami w długiej cienistej alei. Księżyc słał nam pod nogi długie cienie, zdala, od pól i wsi, płynęła jakaś nuta tęskna i namiętna, wszystko sprzyjało — wyznałem jej, że ją kocham, i że albo będzie moją, albo chyba świat się zapadnie.

Wahała się, pobladła, drżała, chciała uchodzić bez odpowiedzi, alem jej nie puścił. I nie wiem, jak mi się tam w głowie kręciło, ale czułem naprawdę, że musi być moją, albo się świat z nami zapadnie...

— Ach byłeś strasznym wtedy, ty brzydki! — zawołała pani Jadwiga — małoś mi dłoni nie zgruchotał w swym uścisku. Myślałem, że mnie zjesz.

— A czemuś się zgodziła? Czemuś mi głowę położyła tu, na piersi i oddychając prędko i gwałtownie, szepnęłaś: Tak?

— Bo chciałam być zjedzona! — zawołała pani Jadwiga, a oczy jej śmiejące sypnęły iskrami.

— To też w uniesieniu, zacząłem cię zjadać, obsypywać pocałunkami...

— No, mężuś, tego nie wolno opowiadać! — krzyknęła pani Jadwiga, podnosząc groźnie małą rączkę.

— A więc wykreślam ten ustęp z opowiadania, choć nie z pamięci. Zresztą nie długo mógłbym opowiadać, boś mi się z rąk wyrwała i uciekła... Zostałem sam jak pijany, ale z takiem szczęściem w sercu, iż myślałem, że mi pierś rozsadzi. Postąpiłem kilka kroków naprzód, lecz wtem ktoś mi boleśnie nastąpił na nogę. „Dwóch nas jest za dużo na świecie!“ odezwał się głos chrypliwy, wzgardliwy, urągający. Adonis widocznie nas podpatrzył i wyzywał. Odskoczyłem na kilka kroków i — wiesz co — była chwila, w której mogła się odegrać taka scena, jak ta dziś rano, na Łysicy, między dwoma jeleniami. Miałem ochotę rzucić się na rywala i zgnieść go na miejscu. Ale na szczęście mamy cywilizacyę, która pozwala się w regulaminowy sposób zabijać. Pohamowałem się więc i rzekłem: „Służę!“ „Zaraz?“ „Zaraz“.

Nie było kłopotu o sekundantów, gdyż salon roił się od przyjaciół umknęliśmy w sześciu bez pożegnania, i w kilka godzin później, w taki sam mglisty ranek jak dzisiaj staliśmy z bronią naprzeciwko siebie.

Jak się spotkanie skończyło, masz tu napisane — dodał Zbigniew, pokazując bliznę — rywal mój dostał okrótną manszetę, która go rozbroiła, gdyż inaczej jeden z nas nie byłby wyszedł żywcem. Z powodu manszety utracił częściowo władzę w ręku, ale gorzej niż rana, zawisła nad nim choroba piersiowa, do której miał usposobienie. W rok jakoś po naszym ślubie umarł na suchoty w Meranie. Był zawsze wątły, nerwowy, chorobliwie gwałtowny...

— A ty, ty nie gwałtowny? — zapytała pani Jadwiga, wsuwając prześliczne swe paluszki w płową czuprynę męża. I rzekłszy to, patrzyła mu prosto w oczy, a wzrok jej, to był iskrzący wzrok łani, ten sam, który błyszczał tam, w górze, wśród rumieniących się mgieł wschodu...

Zbigniewa twarz jaśniała szczęściem.

— No, wiesz moja żońciu, w czasie rui...

Ale nie mógł dokończyć swej myśliwskiej uwagi, bo różowe paluszki drugiej ręki spoczęły z oburzeniem na jego ustach.

Zdawało mi się, że to najwłaściwsza pora, ażeby szczęśliwych zostawić samym sobie. Skłoniłem się i odszedłem.

* * *

Długo w noc nie mogłem zasnąć. Mimo chłodu wieczornego stałem w otwartem oknie i patrzyłem w niebo. I cały świat i całe wieki z miryadami gwiazd przesuwały mi się przed oczyma.

I myślałem, co za potężną siłą jest siła utrzymania rodzaju. Ileż walk, ile poświęceń, ile bohaterstwa, ile cierpień, ile szczęścia wplata ona w życie człowieka przez wszelkie narody i wieki...

Ten Bal fenicki, ten Oziris Egiptu, ten Adonis i Herkules, rozrodcza siła słońca, stawiana na ołtarzach jako bóstwo — i owe misterya miłości w świątyniach, gdzie nawet kamienie w kwiaty i koronki przekuto — jakże to przenika całą ludzkość! Zdawało mi się, że patrzę na ruiny Balbeku, Palmiry lub Teb, że słyszę, jak w szmerze ziół i krzewów, kołyszących się nad szczątkami wieków, brzmi wiecznie młoda pieśń miłości. I wpatrzyłem się w niebo, gdzie miryady gwiazd wypisują iskrzącymi znakami na tle błękitu: Wiecznie to samo.

St.

Polowanie z wyżłem na ptaki.

Z własnych doświadczeń

podał

Seweryn Kisielewski.

VI.

Na kszyki i dubelty.

Kszyk, jak wiadomo, należy do ptaków przelotnych. Czasem wszakże, może z powodu przyspieszenia lub opóźnienia lęgu, pozostaje kilka par w naszym kraju przez lato, lecz wyłącznie tam tylko, gdzie się znajdują wielkie obszary błot. Na mniejszych błotach i na łąkach, położonych obok stawów, nie widziałem nigdy młodego kszyka, ani też nie słyszałem, aby kszyki obierały kiedykolwiek małe błotka na miejsce swych pieleszy. Pojawiają się one tutaj tylko w czasie jesiennych przelotów, i popasają przez dni kilka, nigdy przez dłuższy czas na jednem miejscu nie zostając. Miejsce jednych, które już odleciały, zajmują częstokroć inne, i dlatego na tych samych błotach można je dłużej spotykać.

Gdzie nie ma błot ani mokradeł, zapada kszyk wypadkowo, na chwilowy odpoczynek, także na suchych miejscach. Pewnego razu zdarzyło mi się ubić kszyka na zagonie kartofli, gdy na kuropatwy polowałem, a drugi raz, przy sposobności polowania na słonki w górach, ubiłem go na wierzchołku dość wysokiej, nagą łysiną świecącej góry, gdzie grunt był zupełnie suchy i nie było nigdzie w pobliżu ani wody, ani żadnego mszystego mokradła.

Podczas mojej praktyki myśliwskiej, polowałem na kszyki na błotach najwcześniej z początkiem sierpnia. Zwyczajnie porywa się kszyk przed wyżłem na piętnaście do dwudziestu kroków z takim impetem, iż się wydaje, jakby go kto z procy na wysokość metra lub półtora w górę wyrzucił, i wydaje przy tem znany głos, od którego nazwę mu nadano. Po zerwaniu się zawisa sekundę lub dwie na wspomnionej wysokości nad ziemią, a następnie z szybkością strzały mknie to w prawo, to w lewo, podnosząc się przy tem coraz wyżej w górę, lub też lecąc ciągle w kierunku poziomym na dwa do trzech metrów po nad ziemią. Takim zygzakiem oddala się od miejsca zerwania się na dwadzieścia do trzydzieści kroków, poczem leci dalej już w linii prostej. Do strzału nadaje się zatem najlepiej w tej chwili, gdy wzleciawszy nad ziemią zawiśnie, lub też dopiero wtedy, gdy już obierze prosty kierunek lotu. Gdy jest częściej płoszony, podnosi się do takiej wysokości, że go ani drobnym, ani grubszym śrutem dosięgnąć niepodobna. Wtenczas odlatuje zwykle na inne błota.

Czasami przywaruje niektóry kszyk tak, iż pozwoli zbliżyć się do siebie na kilka kroków nietylko psu, ale i człowiekowi, jednak przeważnie porywa się zawsze dalej. Od zwyczaju porywania się na większą odległość odstępuje tylko w późnej jesieni; wtedy porywa się czasem tuż przed nosem wyżła, w lecie zaś, t. j. w sierpniu, dosiaduje twardo tylko bardzo rano przed wschodem słońca, lub w czasie największego upału, w samo południe.

Na wiosnę nie polowałem nigdy na kszyki. Mimo to słyszałem godowe granie tego ptaka, które po myśliwsku zowie się „bębnieniem“ i widziałem jego prześliczne ewolucye w powietrzu, którym, przy spadaniu z góry na dół, towarzyszy głos podobny, już nie wiem, do beczenia owcy, czy kozy, ponieważ tylko w przybliżeniu wyrazić go można przez: „Be-be-be-be!“ lub „Bu-bu-bu-bu!“ W jaki sposób wydobywa kszyk z siebie owe beczenie, orzeknąć nie jestem w stanie; zdaje się wszakże nie ulegać wątpliwości, iż głos ten jest wynikiem niezmiernie szybkiego drzenia piór w lotach lub ogonie. Pozostaje tylko do bliższego zbadania, czy wyłącznie pióra w lotach, czy też w ogonie, lub może razem wspólnie głos ten wywołują — bo nie jest to głos pochodzący z gardzieli, gdyż byłby niezawodnie o wiele dźwięczniejszy i wyrazistszy. Najprawdopodobniej z powodu tego beczenia dostała się kszykowi nazwa „bekas“, która przeszła i na inne długodziube ptaki, żerujące na gruntach moczarowatych.

Ponieważ na błotnem polowaniu chodzi pies po mocno bagnistym gruncie, a często nawet brodzi po brzuch w wodzie, więc trzeba mieć wyżła do wody nawykłego i dobrym obdarzonego wiatrem. Pies, którego węch jest z natury słaby, lub później osłabł, tak, iż kszyka zdala zwietrzyć nie może, na nic się nie przyda, bo pies ptaka pomija i obraca się za nim dopiero wtedy, gdy ten, z tyłu się porwawszy, daje mu znać o sobie głosem „Kszk!“

Nie mając wyżła z bardzo ostrym wiatrem, lepiej jest wyruszyć samemu na polowanie, ponieważ kszyk da się bardzo łatwo i bez psa wydeptać. Chyba jeżeli kto ma wyżła na to tylko utresowanego, aby mu ubite ptaki znosił, to niechaj go zabierze, ponieważ gdzie jak gdzie, ale na błotnem polowaniu jest wyżeł do aportowania prawie niezbędnie potrzebny. Lepiej nawet stracić jednego lub dwa ubite kszyki, których wyżeł z powodu słabego wiatru nie odnajdzie, niż kilka, których myśliwy dostać nie będzie w stanie, gdy spadną w oczeret, albo na trzęsawisko, gdzie pies łatwo dojdzie, a człowiekowi grozi zatonięcie w błocie.

Trafi się także i wyżłowi z ostrym wiatrem, że kszyk porwie się czasem po za nim, lecz, o ile zauważałem, ma to miejsce tylko wtedy, jeśli pies nie jest zdrów zupełnie i chrząstka okalająca górną część nozdrzy wyschnie mu do sucha. Choć na psie nie widać wcale żadnych symptomów choroby, ani żadnych śladów osłabienia, to przecież jest to niezawodną oznaką jakiejś gorączki, która, wysuszając błonę szluzową w otworach nosowych, stępia narząd węchu. W takim wypadku radzi sobie wyżeł tem, że od czasu do czasu wystawia język, a oblizując chrząstkę i dziurki nosowe, zwilża w ten sposób wysechające miejsca. Czyni to zaś w biegu bez żadnego wysilenia, tak, że nie każdy myśliwy zwróci na to uwagę. W takim wypadku zaprzestawałem zawsze polować najmniej przez pół godziny, poczem wyżeł, odpocząwszy i uspokoiwszy się zupełnie, wietrzył znowu dobrze.

Na polowaniu na kszyki powinien wyżeł wietrzyć górą, ponieważ na takiem polowaniu nie ma on wcale potrzeby

badania gruntu, aby odszukać ślad, którędy zwierzyna podążyła. Nie widziałem bowiem nigdy, aby kiedykolwiek kszyk, zaatakowany przez wyżła, uchodził piechotą, lecz porywa się zawsze z miejsca, gdzie został zaatakowany. Wprawdzie, gdy wyżeł trafi na miejsce, w którem kszyki przed niedawnym czasem żerowały, to się zatrzymuje i przez chwilę waha, ale skoro tylko spuści „pompę“ na dół i przekona się, że ślad nie jest świeży, podnosi natychmiast głowę do góry i biegnie dalej, pompując powietrze na wszystkie strony.

Najgłówniejszym warunkiem dobrego zachowania się wyżła na polowaniu na kszyki jest to, aby, jak tylko ptaka zwietrzy, zaraz zamarkował, to jest chwilę przystanął, lub dał znak przysiadaniem, a to w tym celu, ażeby myśliwy miał czas przygotować się do strzału, zdarza się bowiem często, że kszyk zerwie się przedtem, nim go wyżeł na pewno wystawi. Jeżeli myśliwy nie nauczy wyżła tej ostrożności, to rzadko kiedy, gdy mu się kszyk niespodzianie nieco dalej porwie, potrafi go ubić. Również ważnem jest i to, aby wyżeł był tak utresowany, iżby na zawołanie: „Pst!“ stawał i oglądał się, albowiem może zajść potrzeba wskazania mu skinieniem ręki miejsca, gdzie ma szukać. W takim razie nawołując głośno, możnaby popłoszyć ptaki w pobliżu siedzące.

Dobry wyżeł wytęża na polowaniu na kszyki nietylko węch, ale także wzrok, bo jest bardzo ciekaw i chce zawsze wiedzieć, co się w około niego dzieje. Gdy ptak się zerwie, patrzy wyżeł za nim zwykle czas dłuższy i śledzi pilnie kierunek odlotu dopóty, dopóki strzał nie padnie. Skoro ptak zostanie zabity, albo całkiem zdrów spuści się na ziemię, to zwykle wie już, gdzie go szukać, i jak tylko dostanie rozkaz, biegnie prosto aż na miejsce gdzie zapadł i tam dopiero szuka ponownie.

Nie pojmuję, dlaczego francuzki hodowca wyżłów p. E. Boulet żąda (patrz „Łowiec“ z roku 1889 nr. 9. str. 141), aby wyżeł, po zerwaniu się ptaka, przypadał do ziemi, i żeby ubitą zwierzynę oddawał tylko w pozycyi siedzącej. Jakkolwiek każdy wyżeł przezemnie układany umiał zawsze sztukę „siadania“, gdyż jest ona potrzebną tak przy tresurze pokojowej, jakoteż i przy takich okolicznościach, kiedy wyżeł ma siedzieć przy nodze (np. na ciągu kaczek), to mimo tego nie wymagałem nigdy, aby tę sztukę wykonywał przy aportowaniu, ponieważ przekonałem się, że sztuka ta, o ile na suchem polu bywa zbyteczną, o tyle na błotach jest nieodpowiednią, a nawet wręcz szkodliwą. Udowadniam to następującem zdarzeniem.

Pewnego razu mój wyżeł, przyniósłszy kszyka, którego, zajęty rozplątywaniem troków przy torbie, zaraz nie odebrałem, usiadł sobie dobrowolnie na ziemi, lecz porwał się natychmiast i wypuściwszy kszyka, zwinął się w kółko i zaczął się z tyłu lizać. Chcąc zbadać przyczynę tak niezwykłego zachowania się wyżła, zacząłem jego zad oglądać i skonstatowałem, że jakaś ostra trawa przecięła mu skórę na jądrach aż do krwi. Zważywszy więc takie wypadki, niemniej niechludność powstającą z owalania się błotem, sprzeciwiam się stanowczo takiej tresurze, aby wyżeł oddawał myśliwemu ubitą zwierzynę zawsze w pozycyi siedzącej. Również twierdzę, iż przypadanie wyżła do ziemi, po zerwaniu się ptaka, wcale nie jest dobre i może mieć niepożądane następstwa, albowiem sterczące do góry ścierniska w polu, oraz ostre badyle skoszonych traw i burzanów na łące, mogą tak samo, jak kaleczące trawy na błotach, stać się powodem obrażenia brzucha u wyżła.

Kszyk ma lot bardzo chyży i nierówny, w skutek czego jest do strzału bardzo trudny. A ponieważ strzela się doń często na dalszą odległość, więc i śrut potrzebuje mieć odpowiednią siłę rzutu. Dlatego ładunki na kszyki należy sporządzać o takiej ilości prochu i śrutu, jakiej używa się zwykle na kuropatwy, byle tylko nie były przesadzone, ponieważ to rzecz wiadoma, że trącanie strzelby powoduje chybne strzały.

Wspomnieć jeszcze muszę o najmniejszym gatunku kszyka, którego zowią „ficlauzem“. Brzydką tę nazwę, przyjmowaną już i przez naturalistów, wolałbym zamienić na „kleszczyka“, jak go już oddawna nazywam.

Kszyczka tego napotykałem dość rzadko. Odróżnia on się od swych krewniaków ozdobniejszem upierzeniem. Jego czarne plecy i barkówki połyskują zielonawo, a niższa część grzbietu i kuper fioletowo. Bardziej północny od kszyka zwykłego, trafia się czasem dość późno w jesieni, nieraz w listopadzie, a nawet w pierwszych dniach grudnia, jeśli się spaźniają śniegi i mrozy. Wypłoszyć go trudno, bo twardo dosiaduje, zwykle dopiero myśliwemu z pod nogi lub psu z pod nosa się zrywa, i niedaleko zapada, tak, że nieraz i czasu na strzał braknie. Lot jego chwiejny, lekki, cichy, jakby lot motyla. Zrywając się nie wydaje żadnego głosu, lub tylko z cicha pochrapuje.

Kończąc o kszykach, uważam za stosowne dać jeszcze maleńką przestrogę, mianowicie, że bezpieczniej jest wychodzić na błota we dwóch myśliwych, niż w pojedynkę, ponieważ błotne polowanie jest jednem z najbardziej męczących. Pominąwszy już niebezpieczeństwo zapadnięcia się na trzęsawiskach, może często zajść wypadek chwilowego osłabnięcia, przy którem pomoc drugiego jest pożądaną.

Mimo umęczenia, bardzo wielu myśliwych widzi na błotnych polowaniach tyle niewypowiedzianego uroku, iż gdyby przyszło do wyboru, oddaliby najchętniej dziesięć polowań na zające, lisy i rogacze, za jedno polowanie na kszyki.

Tak samo w przelocie, jak kszyki, pojawiają się u nas i dubelty, z których także po kilka par na większych obszarach błot pozostaje i wylęga młode. Stwierdzić to mogę własnem spostrzeżeniem, gdyż widziałem młode dubelty (pałczaki) na błotach bełzkich. Różnica w przelocie kszyków i dubeltów uwydatnia się tylko w tem, iż przelot dubeltów trwa o wiele króciej, niż kszyków, bo najpóźniej do 10. sierpnia. Kiedy właściwie przychodzą do nas dubelty, ściśle oznaczyć nie podobna; polowałem na nie zazwyczaj już po 20. lipca, a trafiałem ich najwięcej dopiero na św. Annę, to jest 26. lipca.

Oprócz tego pojawiają się dubelty, acz w nierównie mniejszej liczbie, także po św. Michale i bywają pod nazwą: „michałki“ uważane przez niektórych myśliwych jako całkiem osobna odmiana dubeltów. Ja ubijałem kiedy niekiedy takie „michałki“, lecz nie spostrzegłem na nich nic takiego, coby mogło dać powód do przypuszczenia, że należą do innego gatunku; są to albo marodery, albo opóźniająca się zbytnio straż tylna armii dubelciej, złożona z indywidyów, należących do spóźnionego lęgu, lub przybywających z dalekiej północy.

W tem wszystkiem jedno tylko jest charakterystycznem, tj. iż skoro natrafi sie w jesieni na jednego dubelta, to z pewnością gdzieś w pobliżu musi być i drugi. Nie zdarzyło mi się nigdy widzieć tylko jednego.

Przed wejściem w życie ustawy łowieckiej polowano na dubelty ze sieciami, ale nie tak, jak to przy łowieniu

przepiórek miało miejsce, tylko bez psa, w sposób podobny niejako do łowienia ryb włokiem. Nie była to wcale myśliwska sztuka łowienia, ale raczej bezmyślne mordowanie wszystkiego, co miało nieszczęście znaleść się pod siecią.

Sieć, używana niegdyś do łowienia ptactwa błotnego, miała zwyczajnie półtora metra szerokości, a dwanaście do piętnastu metrów długości. Węższymi bokami upięta była na dwu drążkach, które podczas polowania, wyciągnąwszy sieć, niosło dwóch ludzi. Dolny brzeg sieci, obciążony w kilku miejscach kamieniami, uwiązanymi na sznurkach, spoczywał na ziemi, górny zaś pochylony był na kształt dachu ku stronie, w którą ciągnący sieć postępowali, tak, iż każdy ptak, porywający się blisko sieci, musiał w niej uwięznąć. Jedynie ten ptak, który się porwał, gdy sieć jeszcze o kilka kroków od niego była oddaloną, miał niejaką możność ratowania się skrzydłami, choć i tak śmierć go spotkać mogła, bo po obu bokach sieci szli zwykle ludzie ze strzelbami, którzy za odlatującymi ptakami strzelali. Skoro tacy myśliwi splondrowali przestrzeń, na której dubelty zwykły przebywać, to można było dać głowę w zakład, że ani jeden dubelt tam się nie ostał. Dzisiaj, dzięki ustawie i dobremu przykładowi myśliwych, zachowujących i w łowieniu ptactwa należytą miarę, ustały już podobne mordownie ptactwa i należą do rzędu rzeczy nieznanych.

Z polowań mych z wyżłem na dubelty mam do zanotowania kilka spostrzeżeń.

Pomimo, iż dubelt, podobnie jak kszyk, przebywa tylko na błotach, odróżnia się przecież pod każdym względem od kszyka. Podczas gdy kszyk przebywa najchętniej na bagnach, zalanych wodą, wybiera dubelt na miejsca popasu tylko takie mokradła, które powierzchownie wyglądają całkiem suche i dopiero pod naciskiem nogi okazują ślady wody. Wyjątkowo zapadnie dubelt i na moczarach, lecz zwykle bywa przeciwnie; tylko „michałki“ mają pociąg do tych miejsc, na których kszyki przebywać zwykły.

O ile kszyk jest pochopniejszy do zrywania się dalej, niż bliżej myśliwego, o tyle dubelt jest leniwszy i wytrzymuje tak, że dopiero na kilka kroków przed myśliwym lub obok niego się porywa. Gdy go wyżeł wystawi, to pomimo, iż skoczy w to miejsce, gdzie go zwietrzył, musi czasem jeszcze suwać pomną po trawie, aby go wypłoszyć. Mimo to można polować na dubelty i bez wyżła, gdyż ptak ten da się także wydeptać dość często temu, kto ma cierpliwość chodzić na błotach raz koło razu.

W jednym względzie wszakże nie mogę nic stanowczego powiedzieć, mianowicie: czyli dubelt przed wyżłem w chwili wystawienia stoi, czy siedzi? Jedni myśliwi twierdzą, że stoi, drudzy, że siedzi, a są nawet tacy, co utrzymują, że go widzieli leżącego na prawym boku i wygrzewającego się do słońca. Ja nie widziałem ani stojącego, ani też leżącego, ale za to widziałem dubelta biegnącego. Na tej podstawie twierdzę, iż dubelt, skoro został raz przez wyżła z miejsca wyruszony i ponownie wystawiony, uchodzi przed nim piechotą, bez względu na to, czy był już strzelany, czy nie. Powyższe twierdzenie popieram okolicznością, iż wyżeł, skoczywszy naprzód, po otrzymaniu stosownego rozkazu, waha się przez chwilę w miejscu, gdzie dubelta zwietrzył, a dopiero potem, odszukawszy poszlak, idzie za nim dalej w pozycyi mocno ku ziemi zniżonej. W tym względzie nie można wątpić, ponieważ wyżły, będące w trzeciem lub czwartem polu, są tak pewne siebie, że nigdy nie mistyfikują. Do tej pewności mogę dodać z mej strony jeszcze to, iż widziałem dwa razy na własne oczy dubelta, uchodzącego piechotą przed moim wyżłem. Było to na błotach bełzkich. Oba razy uchodził dubelt ku Sołokii, która płynie przez środek błót wzmiankowanych. Oba razy nie strzelałem do piechotnego, chcąc zauważyć, co pocznie, gdy przybiegnie do brzegu. Otóż jeden z nich porwał się w odległości kilku kroków od brzegu, drugi zaś nad samym brzegiem, lecz ani jeden, ani drugi nie uszedł. Gdym strzelił, spadł pierwszy na środek wody, a drugi już na przeciwnym brzegu rzeki.

Przy wyszukiwaniu dubeltów nie potrzebuje wyżeł tak wielkiej ostrożności, jaką zachować powinien przy ściąganiu do kszyków, ponieważ dubelt, jak już wyżej powiedziałem, wytrzymuje bardzo długo i lada jakim szelestem spłoszyć się nie da. Mogę też zapewnić, że do polowania na dubelty nadaje się każdy pies, co umie tylko szukać. Jeżeli chodzi krótko, to można nawet zrezygnować ze sztuki wystawiania, gdyż dubelt, z którejkolwiek strony myśliwego się porwie, odlatuje zwykle bardzo wolno i zostawia dość czasu do strzału, tembardziej, że charakterystycznym głosem: „Frrr!“ który wywołuje szybkiem poruszeniem lotów, daje zawsze znać o sobie. Zastrzegam się wszakże, jakobym przez to chciał powiedzieć, iżby wyżeł używany do polowania na dubelty nie potrzebował umieć sztuki wystawiania; wszak bez niej nie zasługiwałby na nazwę wyżła.

Lot dubelta jest równy, regularny i spokojny, idący prosto w pewnym kierunku na wysokości półtora do dwóch metrów po nad ziemią. Wypadkowo jeśli pierwszym strzałem został zdołowany, podnosi się dubelt w górę do znacznej wysokości. Ale ponieważ leci zawsze wolno i równo, więc mimo to, jest do strzału łatwy. Ze względu wszakże na okoliczność, iż do dubelta żaden myśliwy strzału nie żałuje i w razie chybienia pierwszym strzałem, prawie zawsze dubluje, radzę używać na dubelty pełnych ładunków.

Na tem kończę moje spostrzeżenia o polowaniach z wyżłem na ptaki, bez względu na to, że do polowania tego rodzaju należą jeszcze bażanty i jarząbki. Ponieważ jednak na pierwsze nie polowałem, a do drugich strzelałem tylko przed nagonką, więc ustępuję miejsca w „Łowcu“ temu, kto będzie łaskaw opisać polowanie także i na te ptaki.

* * *

Skończywszy o ptakach, wypada mi powiedzieć jeszcze nieco o wyżłach i strzałach w ogólności.

Każdy wyżeł, chociażby był najkarniejszym i najprzywiązańszym, pozbywa się tych zalet niezawodnie, skoro jego właściciel zacznie go zaniedbywać i powierza opiekę nad nim innym osobom, szczególnie słabszej połowie rodzaju ludzkiego. Muszę zatem, acz z przykrością, szczerze wypowiedzieć, że powodem psucia się wyżłów pod względem karności i przywiązania, bywają przeważnie kobiety i dzieci, a to z przyczyny, że nie umieją wcale z psami się obchodzić. Im się zdaje, iż głaskaniem i pieszczotami zrobią wyżła jeszcze lepszym i przysporzą przyjemności jego właścicielowi; tymczasem rzecz się ma odwrotnie.

Skoro pani domu, nie szczędząc pieszczot, zacznie częściej bawić się z wyżłem i dawać mu różne smaczne kąski do jedzenia, to wyżeł, z natury pieszczoty bardzo lubiący, będzie się trzymał ciągle w pobliżu niej i niewątpliwie prędzej czy później straci przywiązanie de swojego pana; wypowie mu nieraz posłuszeństwo, zacznie pod różnymi pozorami lekceważyć jego zakazy i zrobi się w końcu tak zwanym „kalefaktorem“. Temu jednak wcale dziwić się nie

można, bo to rzecz skonstatowana, iż skoro aksamitne rączki płci pięknej psa lub mężczyznę za często głaskają, to nietylko pies staje się gałganem, ale i mężczyzna traci hart ducha, pozbywa się samodzielności charakteru i nareszcie „na psy“ schodzi. Dlatego radzę każdemu, kto chce mieć wyżła karnego, a mimo to bardzo przywiązanego, niech nakaże, aby go nikt nie nęcił do siebie i nic mu jeść nie dawał. Rozumie cię samo przez się, że wyjątek w tym względzie stanowi ten, kto ma obowiązek dawać wyżłowi przeznaczoną porcyę jadła. Gdy po nad to właściciel da mu jeszcze czasem na deser parę kąsków chleba lub bułki, to może być pewnym, że wyżeł przywiązania doń nigdy nie straci.

Zdarzają się wprawdzie wypadki, że pies, pieszczony i karmiony przez wszystkich domowników, zacząwszy od gospodyni domu, a skończywszy na dziecku, nie traci przywiązania do swojego pana, ale zawsze będzie to tylko wyjątek, gdyż zwyczajnie następstwo pieszczot i karmienia psa przez różne osoby, bywa zawsze takie, jak powyżej nadmieniłem.

A teraz jeszcze słówko o strzałach.

Niektórzy myśliwi, strzelający po mistrzowsku, utyskują na innych, że tak samo nie strzelają, lecz albo pudłują, albo, co gorsza, nie ubijają zwierzyny na miejscu, tylko kaleczą. Z tych powodów nawołują, zresztą całkiem słusznie, aby strzelać tylko wtedy, kiedy zwierzyna znajduje się w takiem oddaleniu, iż wedle wszelkiego prawdopodobieństwa musi paść, skoro zostanie celnie trafiona. Aby zaś zwierzyna nie uchodziła postrzelona i nie ginęła później ze szkodą dla zwierzostanu a bez pożytku dla myśliwego, zalecają przed daniem strzału dobrze mierzyć. Celne strzały są dla nas wszystkich bez wątpienia pożądane — ale że celne strzelanie dla niektórych pozostanie zawsze tylko ideałem, zgodzi się ze mną każdy dobrze i źle strzelający, zważywszy, iż kwestya celnego strzału nie da się ująć w żadne doktrynerskie reguły nauczania. W sposobie składania się i celowania tyle jest dowolności, tyle różnych nawyczek, że niepodobna wydać jakiegoś prawidła, do któregoby każdy strzelający zastosować się umiał. Zwykle wyrabia sobie każdy myśliwy sam jakąś metodę i chwyta zwierzynę na cel tylko w taki sposób, jaki dlań okazał się najlepszym; jedni składają się tak, że muszka na strzelbie znajduje się zawsze powyżej zwierzyny, a dopiero potem spuszczają ją na dół dopóty, dopóki zwierzyny nią nie przykryją; drudzy przeciwnie, przyłożywszy strzelbę do twarzy w ten sposób, że muszka jest poniżej zwierzyny, podnoszą lufy do góry, dopóki nie chwycą zwierzyny na cel; nakoniec jeszcze inni mają tak znakomitą manierę składania się do strzału, iż, skoro się wpatrzą w zwierzynę i przyłożą strzelbę do twarzy, mogą, nie celując, strzelać z zamkniętymi oczyma, bo zwierzyna odrazu znajduje się na muszce. Skoro jednak cośkolwiek się spóźnią, lub w inny sposób do zwierzyny się zmierzą, chybiają niezawodnie. Jak widzimy z powyższych sposobów składania się do strzału, nie da się zaprowadzić między myśliwymi żadna pewna, jednolita metoda celowania i strzelania, przeto radzi nie radzi musimy się zgodzić z tem, iż w przyszłości utrzyma się taka sama rozmaitość, jaka panowała dotychczas. Gdy weźmiemy jeszcze na uwagę okoliczność, iż wyruszona z legowiska zwierzyna nie chce nigdy czekać, tylko zmyka ile jej sił starczy, to przyjdziemy do przekonania, że wykluczenie postrzelenia zwierzyny musi pozostać w granicach rzeczy niemożliwych.

* *
*

Na zakończenie ośmielam sią skierować jeszcze kilka słów bezpośrednio do Was wszystkich, szanowni panowie starzy i młodzi myśliwi!

Wiadomo Wam, że myśliwstwo jest jedynem polem, na którem znika wszelka różnica stanów, że myśliwy z mitrą książęcą stoi nieraz na stanowisku obok leśnego w siermiędze i ani mu to przez myśl nie przejdzie, iżby ten łowiec z siermięgą na grzbiecie był dlań niestosownym towarzyszem, jeżeli tylko zasługuje na miano myśliwego. Tak samo i myśliwy nieherbowy uważa się za równego najwyższemu dygnitarzowi, biorącemu udział w polowaniu. Nie ma tam bowiem żadnych dostojników, lecz bywa zwyczajnie jeden tylko wódz, którego wszyscy inni bez szemrania słuchają, a dopiero po skończonem polowaniu króluje ten, kto zdobył najwięcej trofeów myśliwskich.

Otóż z uwagi, że w myśliwstwie wszyscy są równi, ośmielam się wszystkich druhów myśliwskich, bez różnicy stanu, wieku i godności, wezwać do wspólnej akcyi, w celu polepszenia naszych, nie całkiem jeszcze wzorowych stosunków łowieckich, do dążenia ku podniesieniu zwierzostanu naszego kraju do takiej świetności, aby nam w szeregu narodów europejskich przyznano pod tym względem, jeśli nie pierwsze, to przynajmniej niepoślednie miejsce. Żeby zaś cel ten nie pozostał wiecznie ideałem, lecz stał się rychło miłą rzeczywistością, mniemam, iż zamiast narzekania na kłusownictwo i nieszanowanie ustaw przez niektórych do po o-wania uprawnionych, zrobimy o wiele lepiej, gdy będziemy się starali rozszerzać koło czytelników „Łowca“, a tem samem zamiłowanie do natury, rozumienie jej zjawisk i wnikanie w tajniki życia zwierzęcego, jakto dzielnemu łowcowi przystało. Zaręczam, że rozpowszechnianie zdrowych zasad myśliwskich z pomocą naszego organu znacznie więcej zdziała, niż wszystkie ustawy. Przekonałem się bowiem niejednokrotnie, iż nasi myśliwi z inteligencyi, a nawet „polowańcy“ w siermiędze, dzierżawiący często polowania gminne, nie pozbyli się narodowych zalet i potrzebują jeno dobrego przykładu i połechtania ambicyi, aby stać się wzorem godnym naśladowania. W tym względzie zda mi się nie potrzebuję dawać bliższych wyjaśnień, gdyż ogólnie znaną jest cnota Polaka, że dla ambicyi i *pro publico bono* umie poświęcić nietylko majątek, ale nawet życie. Dla czegoż nie umiałby poskromić pasyi myśliwskiej, doprowadzającej do lekkomyślnego niszczenia zwierzyny, jeśli zawód myśliwego w szlachetniejszym ujrzy świetle, lepiej go zrozumie i pokocha?

Z obcych światów.

Przez czarny ląd.

W wydawanem zeszytami dziele p. t: „Do jezior Rudolfa i Stefanii“ *(Zum Rudolf-See und Stephanie-See)* opowiada porucznik okrętowy Ludwik Höhnel przygody wyprawy hr. Samuela Teleki'ego w latach 1887- 1888 w głąb Afryki, o której jużeśmy w „Łowcu“ parę razy wspominali.

Wyprawa, którą w październiku 1886 rozpoczęto w Zanzibarze organizować, wyruszyła po wielkich trudnościach w złożeniu korpusu ekspedycyjnego dopiero d. 23. stycznia 1887 w głąb Afryki. Na przewodnika jej został za 2000 dolarów ugodzony Zanzibarczyk Dżumbe Kimameta, a arsenał wyprawy tworzyło 200 karabinów z przodu nabijanych, 80 karabinów Werndla i 12 systemu Collta, oraz pewna ilość rewolwerów, z odpowiednią amunicyą i noże faszynowe. Hr. Teleki i inni przodownicy wyprawy mieli nadto doborową broń myśliwską.

Tysiączne trudności przedstawiał transport bagaży. Prócz ludzi, użyto do tego osłów, które się co chwila rozbiegały, kładły na ziemi i mimo bicia dalej iść nie chciały, lub pakunek z siebie zrzucały. Niemniej niesforną była trzoda niewolników, którzy, czując jeszcze możność powrotu do domu, albo się cichaczem wymykali, albo odmawiali posłuszeństwa, stawiając co chwila inne warunki i rzucając bagażami o ziemię. Trzeba było bezustannie i grozić i prosić i różnych sztuk dyplomacyi używać, aby karawanę utrzymać w porządku. Kij niestety, choćby tylko podniesiony, miewał jeszcze największą powagę.

Szczególniej podobało się Zanzybarczykom jak najczęstsze obozowanie. Pewnego razu, uznawszy, że pochód ciągnie się już za długo, pozrzucali pakunki samowolnie i siedli na spoczynek. Hr. Teleki, idący przodem, udał, że tego nie widzi i postępował ciągle naprzód. Młody pomocnik wyprawy, który mówił po angielsku, puścił się za nim i wołał: *Sir, poeple want to camp!* (Panie, ludzie chcą obozować). *Well*, odrzekł Teleki, *but I want to go!* (Dobrze, lecz mnie się chce iść) i nie oglądając się nawet szedł dalej. Ten spokój obojętny wystarczył tym razem, aby upornych skłonić do dalszego pochodu i nie dozwolić im swoją wolę przywódzcy narzucić.

Droga szła na Pangani, Malago Mbaruk, Kwa Fungo ku górom Kilimandżaru. Szczególne spotkanie miała karawana już w pierwszych dniach swego pochodu. Gdy opuściła Malago Mbaruk, została w lesie przez niezliczone roje pszczół napadniętą i kompletnie rozprószoną. Osły pokłute drżały konwulsyjnie i rozbiegały się jak szalone, a ludzie kładli się twarzami w trawę, żeby się od żądeł pszczolich uchronić. Trzy razy powtarzał się napad pszczół, zwanych przez Negry „njuki“. Odpędzanie chustkami i sukniami nie pomagało, dopiero dłuższe, najzupełniej spokojne zachowanie się karawany uspokoiło wzburzone roje i skłoniło je do odlotu.

W obozie, rozbitym pod wsią Lewa, należącą do Waszenzów, przyszło do formalnego rokoszu Zanzybarczyków, którzy, korzystając z pobliskiej osady nie chcieli się ruszać, a nadto winem bananowem, t. z. „pombe“ się upili. Poczęli przez przywódców stawiać warunki lepszego żywienia, lepszego obchodzenia i obniżenia wagi ładunków. I tu jednak zwyciężył ich hr. Teleki swoim zimnym spokojem. Oświadczył, że owszem, zaprowadzi ich napowrót do Zanzibaru i odda ich tam, jako krnąbrnych, sułtanowi do ukarania. Darmo wrzeszczeli i na wiatr strzelali, musieli w końcu wrócić w karby porządku.

W początkach marca 1887 weszła karawana w krainę Usegua. Tu, niedaleko wsi Mualeni, gdzie obozowano, przyszedł porucznik Höhnel do strzału ua hipopotama.

„Pastuszek wiejski, który pasł kozy —opowiada Höhnel— dał mi do zrozumienia, że w pewnem miejscu w rzece Pangani przebywają hipopotamy. Brzeg, do którego mnie chłopak zaprowadził, wskazywał widocznie, że musi być miejscem spoczynku tych olbrzymich gruboskórców, a chociaż na razie nie było widać żadnego, można było mieć nadzieję, że czekanie nie będzie bezowocne. I w istocie, wkrótce wynurzyła się z wody, zaledwo o 10 kroków odemnie, kolosalna czaszka hipopotama. Złożyłem się natychmiast z ekspresa (kal. 500) i strzeliłem w sam środek czaszki. Z przerażającym rykiem przewalił się kolos w wodzie i znikł w jej głębinach. Zdaje się, iż był śmiertelnie raniony, lecz nie ujrzałem go już więcej“.

Po niedługim pochodzie wzdłuż rzeki Pangani, rozłożyła się karawana obozem w miejscowości Mabirioni. Jestto wyraz znaczący tyle co „granica“ i często dla obozowisk używany. Stąd zwrócono się ku górom Pare-Maboga. Im dalej od rzeki, tem jałowszą i bardziej pustą była okolica, dopiero u podnóża gór natrafiono na bujniejsze zarośla i błotne łąki. Brzegi ładnego potoczku wybrano tu na miejsce odpoczynku. Zajmowała je poprzód gromada pawianów, która z pociesznymi gestami przestrachu na widok ludzi uciekła. Höhnel puścił się za nimi w gąszcza, lecz nie daleko zaszedł. Kolczate krzewy, a szczególniej rosnąca tam *Sanseveria* uniemożliwia zapuszczanie się w gęstwiny. Także drobne *Smilaceae* o wijących się nitkowatych łodygach tamują pochód, plącząc się między stopami, a i one mają kolce, tem gorsze, iż nakształ żelazka wędki zaginane i trudne do wydobycia, gdy się raz w ciało wbiją. Cała właściwie roślinność jest w tych krainach Afryki kolczatą; nawet kora wielu dużych drzew wyradza się w kolce. To też w lasy i gąszcza afrykańskie nie można się puszczać w sukniach z lekkiej tkaniny, jakby to klimat tamtejszy nakazywał, jeśli się nie ma być odrazu okrytym ranami i strzępkami. Tylko gruba odzież jest możliwą, a grube, zbite i śliskie płótno lepsze od tkanin wełnianych. Jakoż i Höhnel mimo odpowiedniej odzieży, wkrótce był podrapany i poszarpany, i nie mógł się ani wprzód ani w tył ruszyć. Wracać się tą samą drogą, to było rany do ran dodawać, należało więc wymknąć się gdzieś bokiem. Dosłyszany szmer pobliskiego strumyka podszepnął porucznikowi dobrą radę. Przedostał się do niego i wkrótce, brodząc w wodzie, wyszedł na wygodną ścieżkę.

Ścieżka ta doprowadziła go do zamieszkałych osad, gdzie także i ludzi z karawany zdybał i świeżymi kukurydzami głód swój zaspokoił. Krajowcy, pokolenie Wapare, wyglądają bardzo nędznie. Ubranie ich stanowią fartuszki z garbowanej skóry koziej i kilka sznurków białych i niebieskich paciorków na szyi. Mają także obręcze z grubego drutu mosiężnego na ramionach, na nogach, na szyi i podobne kolczyki w uszach.

Dalsza droga wiodła przez „njikę“, tj. przez nieurodzajną, bezwodną pustynię. Ziemia czerwona, laterytowa, na proch starta, ogołocona z roślinności, i gęsto popękana, była

jak piec rozgrzaną. Kolczate akacye stały tu i owdzie zwiędłe i niemal bez liścia. Z rzadka tylko pojawiała się kupkami zżółka trawa. Jedynie euforbie, jakgdyby stworzone dla tej spieki, stały wesołe i soczyste. Niebezpieczne, gałęziami maskowane jamy, wskazywały, że krajowcy wabią w nie tutaj grubszego zwierza — lecz ze zwierzem tym nie spotkała się wcale karawana. Tu i ówdzie miedzy krzewami przemykały się tylko ptaki kurowate, a w szczególności pantarki. Höhnel zmienił broń i strzelał do pantarek, ale gdy jedną podnieść chciał z krzaków, w które upadła, wyskoczył z nich niespodzianie lampart. Porucznik chwycił sztuciec i strzelił, lecz już było zapóźno — oba strzały chybiły.

W miejscowości Same obozowano przez dwa dni. Tu czynili hr. Teleki i Höhnel wycieczki łowieckie w sąsiednie wzgórza. Ubito parę antylop (Elen). Za jedną, postrzeloną i mocno znaczącą antylopą, puścił się porucznik ku pobliskim zaroślom, gdy nagle z gniewnem prychaniem wypadł z nich tuż obok duży nosorożec. Wrażenie tego nagłego zjawiska było tak wielkie, że Höhnel zapomniał, iż ma sztuciec w ręku, a gdy za zwierzem nareszcie dwa razy strzelił, to na tak daleką metę, że strzały musiały być bezskuteczne. Opamiętawszy się, poszedł porucznik za tropem do najbliższych zarośli, gdzie nosorożec zniknął i tam trochę buszował, ale uprzytomniwszy sobie, że po raz pierwszy nosorożca spotkał i że natury tego zwierzęcia wcale jeszcze nie zna, uważał za najwłaściwsze porzucić dalsze poszukiwania i wrócić do obozu.

W czasie dalszego pochodu wzdłuż gór Kwa-Mdimu wybrał się hr. Teleki nieco przed karawaną i udał mu się świetny *coup-double* na antylopy, zwane przez krajowców „Mpala“. Pojawił się był i lampart wśród traw wysokich, lecz zaraz znikł, a wkrótce potem usłyszał hrabia jakieś skrzeczenie i widząc ruch w trawie, pochodzący jak mniemał, od jakiegoś drobniejszego zwierzęcia, wziął dubeltówkę zamiast sztućca i strzelił. Jakież było jego zdziwienie, skoro po kilku gwałtownych rzutach ukazały się na miejscu strzału łapy lamparta średniej wielkości, który legł na miejscu od śrutowego naboju.

Las koło Taweta, przez który następnie karawana przechodziła, jest istnem eldorado dla ornitologa, tyle tam ptasząt rozmaitego rodzaju. Ponieważ jednak plątanina niższych gałęzi przeszkadza ptakom w locie, trzymają się one wszystkie na szczytach drzew niezmiernej wysokości i są bezpieczne od strzału, a jeśli się nawet uda jakiego ubić, to nie spadnie na ziemię, tylko gdzieś na gałęziach zawiśnie i jest dla myśliwego stracony.

Kraina, którą karawana d. 12. kwietnia przebywała, odznacza się czarującymi krajobrazami i obfitością zwierza.

„Zielone, pełne życia akacye — pisze Höhnel — rosły tu pojedynczo lub całymi klombami, odbijając pięknie od żółtego stepu i nadając okolicy charakter istnego parku. Tu i owdzie stało guzowate, szaro wyglądające drzewo hebanowe, a nigdzie nie widać było palm. Nie można sobie nic piękniejszego wyobrazić jak taki naturalny park, zwłaszcza gdy, tak jak tutaj, mnóstwo zwierza go ożywia. Płoche strusie przemykały przed nami ze skrzydłami w górę podniesionymi, przyspieszając swój i tak chyży bieg, podczas gdy gazele i większe gatunki antylop pasły się w około dość spokojnie, tak, że zdawało się, iż można je niemal ze ścieżki strzelać“.

Była to pokusa za wielka dla myśliwego. Höhnel odłączył się też od karawany i ruszył za zwierzyną na podchodne, ale uczynił tu, niestety, to doświadczenie, że zwierzęta, dość obojętne na całą karawanę, okazywały wielką czujność w obec tego, który się od niej odłączył i mimo wszelkich wybiegów nie dały się na strzał podejść. Zamiast antylop, pojawiła się wkrótce trzodka pasących się zeber, która również na widok zbliżającego się człowieka umknęła, wzbijając kopytami tumany kurzu. Idąc za nimi, trafił Höhnel niespodziewanie na śpiącego pod akacyą nosorożca, którego „faru“ krajowcy zowią. Zaledwie o cztery kroki od niego znaleźli się razem z czarnym Zanzybarczykiem, który porucznikowi towarzyszył. Cofnęli się zatem pod inną grupę drzew i poczęli wołać, ażeby nosorożca zbudzić, lecz nadaremnie, gdy wtem nadbiegło z tuzin zeber, idąc gęsiego jedna za drugą. Porucznik skierował ku nim swój sztuciec, a gdy strzał przebrzmiał, obłok kurzu zakrył uciekające zebry, z których jedna padła na miejscu, a równocześnie zerwał się i kolosalny nosorożec. Stanąwszy na nogach, poruszał gniewnie głową, wietrzył i rozglądał się, ale nie ruszał z miejsca, tak zaś jak stał, na sztych, nie był do strzelania. I kto wie jak długo byłby stał taki gniewny, gdy wtem lunął deszcz nawalny. Nosorożec stracił wiatr i zwróciwszy się w inną stronę, stanął zupełnie na połeć. Wtedy porucznik przyłożył 500-kalibrowy ekspres do twarzy, i wycelowawszy uważnie w komorę, strzelił. Po pierwszym strzale zadrżał nosorożec lecz stał ciągle jak wrośnięty, po drugim wszakże strzale padł na kolana i skończył.

Ponieważ karawana znacznie się już była oddaliła, nie można było ani myśleć o zużytkowaniu tej pięknej zdobyczy i trzeba ją było zostawić na miejscu.

Na drugi dzień, gdy karawana rozłożyła się obozem nad rzeczką Sagana, wyszli Teleki i Höhnel na łowy, lecz szczęście im nie sprzyjało i z próżnymi rękoma, znużeni i zgłodniali, wrócili pod wieczór do obozu. (D. c. n.)

W PRZELOCIE.

Przepiórki nasze wywiodły już jedno pokolenie, ta i owa gnieździ się czemprędzej, żeby jeszcze drugie pokolenie wywieść, żeby tylko wielką gromadą, rojno i szumnie odbyć jesienną podróż do Afryki, gdy niegościnne przymrozki zaczną je z Polski wypędzać.

Niegościnne przymrozki!... A czy im tam będzie dobrze w tej podróży za światy? Czy ich tam przyjmą otwartymi ramiony? Czy żadne niebezpieczeństwo nie grozi tym czupurnym samczykom, tym potulnym kurkom, które z taką lubością wśród zbóż naszych się chowały?

Ach, tysiąc ofiar zabiorą burze, tysiąc inny pochłoną fale morza Śródziemnego, a najwięcej zamorduje chciwa, nielitościwa ręka człowieka.

Nie tak to ładnie i bezpiecznie w tych podróżach zamorskich, a przecież moc nieprzeparta ciągnie dalej i dalej, na południe, za morze, i znowu ciągnie ku północy, gdy młode słonko wiosenne nad roztajałą ziemią zaświta.

Oto jedno opowiadanie z dawniejszych czasów.

* * *

Byłem już leśnikiem i myśliwym, gdy mnie los zapędził pod sztandary Napoleona I, idącego wojować z Hiszpanami. Znaleźliśmy się między Barceloną a Tarragoną, ażeby stawić czoło Anglikom, dającym pomoc Hiszpanii. Kraj tu był żyzny i piękny, ale ciągłymi przechodami wojsk obcych i własnych zniszczony. Gospodarz mimo najlepszej woli — a ta „najlepsza wola“ rzadko się zdarzała — nie miał czem żywić zakwaterowanego żołnierza, trzeba więc było nieraz chytrości a nawet przemocy, żeby nie przymierać głodem.

Mój gospodarz prosił mnie, żebym jeszcze kilka dni był cierpliwym, bo nadchodzi luty, a z nim przybędą przepiórki i będziemy mieć pełne stoły pieczystego.

— Czyż istotnie tak dużo przepiórek do was z wiosną zalatuje?—zapytałem niedowierzająco. — A czem je będziecie strzelali, kiedy wszystką broń zabrali wam albo gerylasy albo regularna armia?

— Te ptaki są takie głupie — odparł gospodarz, — że je i bez broni tłuc można. Kij wystarczy. I na co, proszę pana, przyda im się cały trud przelatywania przez morze? Dusi się je w omdleniu, w chwili niemocy, tak, jak to panowie robicie teraz z Hiszpanią. Co za los, co za okropny los!

A gdy to rzekł mój Hiszpan, zaczęła w nim grać krew południowa, i łypnął na mnie z podełba czarnym, iskrzącym wzrokiem, jakgdyby nim chciał całą armię napoleońską spalić.

Nie wypytywałem go też dalej o szczegóły przelotu przepiórek, a że mnie po kilku dniach do 42-go pułku pod rozkazy pułkownika Durançona odkomenderowano, więc wkrótce miałem sposobność razem z nim przypatrzyć się na własne oczy, jakto Hiszpanie na przepiórki polują.

Była to połowa lutego.

— Lada dzień zapowiadają ciąg przepiórek — rzekł mój pułkownik — musimy więc skorzystać ze sposobności i zobaczyć, jak się z nimi Katalończycy witają. Pójdziesz pan jutro ze mną?

Rozumie się, że z najżywszą wdzięcznością przyjąłem tę propozycyę.

Nazajutrz poranek był spokojny, lecz niebo zachmurzone i chwilami deszczyk przepadał. W towarzystwie kilku jeszcze oficerów udaliśmy się ku zatoce. Na kilkaset kroków od morza napotkaliśmy tu mnóstwo Katalończyków, którzy to siedzieli lub leżeli, to przez perspektywy ku morzu spoglądali. Wszystko to czekało na biedne przepiórki. Pomiędzy zgromadzonymi nie widzieliśmy ani jednej strzelby; wszyscy jednak, mężczyźni i kobiety, młode dziewczęta i wyrostki, uzbrojeni byli lekkimi drewnianymi młotkami na długich drążkach, lub poprostu dwumetrowymi trzcinami. Aby zaś skrócić czekanie na afrykańskich wędrowców, śmiali się, nacierali na siebie żartobliwie młotkami, lub rzucali je w górę i chwytali znów zręcznie w powietrzu. Niektórzy z czekających mieli także sieci.

— To coś tak, jak za czasów Mojżesza, gdy Pan Bóg zesłał głod ym żydom przepiórki — rzekł, śmiejąc się mój pułkownik — wątpię jednak, czy ta upierzona pieczeń wpadnie im tu tak łatwo do gęby.

Żartując tak i nie widząc ptactwa nad morzem, jużeśmy chcieli wracać do domu, gdy wtem cała hurma Katalończyków, jakgdyby iskrą elektryczną ruszona, zerwała się na nogi i pobiegła na brzeg zatoki.

Oczy wszystkich zwrócone były ku morzu — i w istocie można już było gołem okiem rozpoznać w oddali ciemną, długą smugę, która się ku lądowi zbliżała.

— To pierwszy ciąg przepiórek! — zawołała koło nas czarnooka Katalonka, i podniósłszy swą spódniczkę aż poza kolana, za pas ją założyła. I nie wiedzieliśmy doprawdy, czemu się bardziej przypatrywać, czy nóżkom Katalonki, czy nadlatującym przepiórkom.

Gdy ciemna, poruszająca się smuga była już tylko na jakie tysiąc kroków od brzegów oddaloną, rzucili się wszyscy plackiem na ziemię, lub pochowali się za krzaki, aby przepiórek nie spłoszyć. Mogło ich być kilka lub kilkanaście tysięcy, a może niejedna taka, która na wiosnę w mej ojczyźnie „pójdźcie żąć!“ wołała... Zrobiło mi się żal tych ptasząt i byłbym wolał, aby były minęły to fatalne, ukrytymi mordercami obsadzone wybrzeże...

Już w odległości trzystu kroków można było poznać, że ptaki są niesłychanie znużone; lot ich zniżał się coraz bardziej ku wybrzeżu, i zaledwie go dosięgły, padły na ziemię jak martwe. W tej chwili zerwała się czatująca hurma i rzuciła się z młotkami, kijami i sieciami na łatwą zdobycz. Zanim się mogły biedne przepiórki opamiętać, już były w sieci, lub ginęły pod młotkami i kijami. Napadowi temu towarzyszył wrzask i kłótnie. *Carracho boni atera!* brzmiało nam w uszach.

— Szczególne polowanie! — rzekł pułkownik z niesmakiem. — Ale cóż robić? I nam się to pieczyste przyda. Możebyś kupił kilka przepiórek, mój poruczniku.

Ledwiem się ruszył, aby spełnić życzenie pułkownika, podbiegła ku mnie piękna Katalonka z spodniczką pełną ptactwa, i obracając zgrabnie trzcinę między palcami, ofiarowała mi na sprzedaż swą zdobycz. Było tam 19 przepiórek, ubitych niemal w mgnieniu oka. I niechże wedle tego kto policzy, ile tam przepiórek w tej minucie padło, i niech się nie dziwi, że na polach naszych dźwięczne „pid-pi-lit!“ coraz rzadziej daje się słyszeć.

Gospodarz mój dotrzymał słowa. Zastawiał nam istotnie wyborne przepiórcze pieczyste aż do znudzenia, a że był w dobrym humorze, więc dał mi jeszcze takie objaśnienie:

„Jeżeli tylko czas nie jest bardzo burzliwy, przylatują do nas przepiórki dużymi stadami z Afryki zawsze w ciągu lutego, a jeśli panuje suchy wiatr północny, dopiero w początkach marca. Szczególniej w dnie spokojne, chłodne a wilgotne, przylatuje czasem kilka stad w ciągu jednego dnia na to samo miejsce. Od jakich pięćdziesięciu lat weszło u nas w modę urządzanie takich polowań, jak pan to widziałeś. Bez trudu zdobywamy wyborną pieczeń i robi się z tego uroczystość ludowa, w której i nasza grandezza nie wstydzi się iść z rybakami o lepsze. Kto najszybszy w nogach i najzręczniejszy, tego plon bywa najobfitszy, bo nie zawsze trafia się tak szczęśliwie, że przepiórki w tem właśnie miejscu zapadają, gdzie się na nie czatuje. Czasem stado ciągnie dalej, a wtedy trzeba się dobrze spieszyć, aby dopaść przepiórki w chwili znużenia, bo już po kilku minutach odzyskują siły i mogą dalej lecieć“.

* * *

Po tej relacyi z czasów napoleońskich i obrazku wiosennej hekatomby przepiórek — oto krótka korespondencya nowożytna z San-Sebastian, zamieszczona tego roku w *Berliner Fremdenblacie*, a mówiąca o jesiennych wędrówkach ptaków przez Hiszpanię.

„Że na północy mrozy zawitały, mówią nam o tem gromadne przeloty ptactwa. Każdego roku o jednej porze ciągną nieprzeliczone stada przez zachodni łańcuch Pyreneów i zatokę biskajską, ażeby zimę w południowej Hiszpanii lub w Afryce przepędzić. Lud zowie to w ogóle *el paso de las palomas* (ciąg gołębi), a starzy i młodzi zasiadają się w górach na najznajomszych przesmykach, aby znużone ptactwo chwytać lub strzelać. Tysiące ptaków padają wówczas ofiarą, zwłaszcza, gdy powietrze burzliwe zniewala je do lotu jak najniżej po nad ziemią.

„Przed kilku dniami, w noc słotną i mglistą, dał się słyszeć i nad naszem miastem zwyczajny w porze jesiennej świegot wędrownego ptactwa. Przyciągnięte blaskami latarni gazowych i światła elektrycznego, krąży ono nieraz nad miastem, które rozsiadło się na wąskim paśmie lądu, z obu stron morzem oblane. Przepiórki spuszczają się w takim razie aż na ziemię i stają się przedmiotem nieszczególnych łowów. Goście wychodzący z kasyn i kawiarni, a nawet nocni stróże, rzucają się wówczas na biedne ptaszęta, które, olśnione światłem, rozbijają się o mury i giną w końcu pod razami lasek i parasoli owych nocnych łowców. Można widzieć wielce szanownych filistrów i poważnych ojców miasta, jak w pogoni za przepiórkami wywracają koziołki, lub wśród mgły głowami o siebie uderzają. Dobrze przynajmniej, że młodzież szkolna jest już w objęciach Morfeusza, bo nie potrzebuje się budować widokiem łowów, którym się jej ojcowie oddają...“

A więc i tam i z powrotem wpada biedna przepiórka w ręce chciwych łowców, którym wszystko jedno, jak i kiedy łowią — byle była pieczeń. *J. Z.*

KORESPONDENCYE.

Wiedeń 6. lipca 1892.

(Hodowla i wystawy psów.)

Staranność, z jaką w ostatnich dziesiątkach lat wzięto się do hodowli psów, zaczyna zasługiwać na uwagę. Za przykładem Anglii, która wogóle w zakresie hodowli zwierząt i krzyżowania ras cudów już dokazała, wyprowadza się dziś tak czyste i specyalne rasy psów i tak szczególne ich krzyżowania, o jakich dawniej wcale nie słyszano. Coraz częstsze wystawy psów, urządzane i w Anglii i na kontynencie, przedstawiają też oczom widza nieskończoną rozmaitość psich form, już to ze względu na piękność lub kolosalność, jużto ze względu na użyteczność ich myśliwską, a między zamożnymi miłośnikami łowiectwa wytwarza się istny sport hodowli psów.

W ciągu wiosny tegorocznej odbyły się w samych Niemczech dwie większe wystawy, w Berlinie i Frankfurcie, trzecia zaś tutaj, w Praterze, w dniach 20. do 22. maja staraniem austryackiego Towarzystwa hodowli psów. Nie mieliście dotychczas szczegółowego sprawozdania z tej ostatniej wystawy, pozwólcie więc, żebym wam kilka słów o niej napisał.

Chociaż z powodu wystaw frankfurckiej i berlińskiej, wielu hodowców niemieckich nie przysłało już swych okazów na wystawę wiedeńską, nie była ona wcale ubogą, liczyła 350 psów myśliwskich a 196 zbytkowych, razem 546 okazów. Umieszczenie ich na placu i w budynkach, należących do c. k. niższo-austryackiego Towarzystwa gospodarskiego, było ze wszech miar odpowiednie; po sto okazów w jednym froncie można było pomieścić, a wszędzie panowała wzorowa czystość, wszędzie dużo powietrza i światła, tak, że żaden z psów nie zachorował, żywienie zaś mamałygą kukurydzianą przypadało im bardzo do smaku.

Najświetniej były reprezentowane tropowce (Schweisshunde), jamniki i wyżły wszelkiego rodzaju, a w szczególności krótkowłose wyżły niemieckie (kurz- und stichelhaarig), pointery i settery irlandzkie.

Tropowców dostarczyły przedewszystkiem psiarnie hanowerskie i bawarskie; pierwsze nagrody zabrali hr. Fürstenberg z Weitra, Robert Wimmer z Leoben, bar. Jerzy Washington z Liesingau i Guttman. Chartów nie było wiele i nic między nimi nadzwyczajnego; jedną z nagród otrzymał „Torrom“ p. Wł. Fedorowicza z Okna. Jest to pies angielski, pochodzący z psiarni ks. Sutherland. Bassety miało zato bardzo ładnych przedstawicieli; osobliwie trzy tego rodzaju, należące do hr. Bardeau z Kornbergu, zwracały na siebie powszechną uwagę.

Nad innymi rasami górowały liczbą i doborowymi okazami jamniki wszelkich odmian. Najpiękniejszym był jamnik rudowłosy p. Suchanka z Berna, inne celujące należały do baronowej Washington, księżnej Koburg-Gotha i innych. Między foxterierami odniósł palmę pierwszeństwa „Živio“ baronowej Lazarini z Gracu. Ze spanielów znalazło się tylko kilka nie zbyt celujących sztuk.

Najbardziej wszakże będą was interesowały wyżły. Tu porobiono zbyt wiele gatunków i oddziałów, które ściślejszej krytyki nie wytrzymują. I tak n. p. między krótkowłosymi wyżłami niemieckimi klasyfikują osobno psy jednobarwne brunatne, a osobno brunatne z białymi płatami, osobno zaś białe z brunatnymi płatami i t. d., zamiast baczniejszą uwagę zwracać na specyalne właściwości budowy. Wogóle jest tutaj trochę za wiele szowinizmu, w ślad za Berlinem i Frankfurtem, do hodowli wyżłów niemieckich i dlatego objawiło się pewne zaniedbanie w wystawie angielskich gatunków, choć to przecie rzecz powszechnie znana i nawet przez Niemców przyznawana, że wyżeł niemiecki rzadko kiedy objawia temperament i dobry wiatr w tym stopniu, co wyżły angielskie, że zazwyczaj okazuje się ociężałym i leniwym, i chyba nigdy w szukaniu i wystawianiu wyżłów angielskiej rasy nie prześcignie. Jest pewna tajemnica w owem zaniedbywaniu ras angielskich. Niemiecki myśliwy żąda dziś od psa, ażeby mu wszystkie usługi spełniał, ażeby przez kij skakał i odpowiadał na pytanie: *Wie spricht der*

Hund?, ażeby miał przytem dobry wiatr, szukał, wystawiał i aportował, chodził po suchem, szedł do wody, a może i dzieci wózkiem woził... Ta tendencya wyrabiania między psami t. z. *Mädchen für Alles* daje przewagę silniejszemu i posłuszniejszemu choć stanowczo gorszemu wyżłowi niemieckiemu nad angielskim, który zawsze jest jednostronniejszym, lecz zato najgłówniejsze cnoty myśliwskiego psa w nierównie wyższym posiada stopniu.

Wracając do wystawy, winienem nadmienić, że za krótkowłose wyżły niemieckie wzięli główne nagrody Suchanek i Schickardt z Berna, Rauschenbusch z Bambergu, leśniczy Stenzel z Jamolitz, hr. Buquoy i inni. Długowłose wyżły były bardzo nieliczne i nietęgie; dwa najlepsze należały do hr. Schafgotsche i p. Artwegera z W. Neustadt. Rasa ostrowłosych wyżłów *(Stichelhaarige)* okazała się jeszcze niewyrównaną i objawiającą znaczne różnice w budowie. I tu okazy p. Suchanka z Berna były najlepsze. Duże brwi i wąsy są tu cechą czystości rasy. Co do budowy da się wogóle zauważyć, że hodowcy doprowadzili łeb do form bardzo ładnych, mają też staranie o pierś i przód psa, ale zato część tylna przedstawia się częstokroć niedobrze, szczególniej nogi bywają brzydkie, albo krowie albo zbyt szeroko rozstawione i ogon nie proporcyonalny.

Niepodobna mi psy szczególne opisywać, podam wam wszakże dla ciekawości nazwy najbardziej między wyżłami używane. Były tam: Hektor, Flott, Piff, Tasso, Tell, Juno, Diana, Rida, Saffi, Norma, Faust, Boy, Treff, Flink, Blitz, Hex, Flora, Dido, Leda a nawet... Wanda.

W rzędzie wyżłów angielskich, najpiękniej przedstawiały się pointery, z których ładne psy baronowej Dewitz zabrały aż ośm nagród. Zato setterów było mało i wcale niedoborowe; za stosunkowo najlepsze wzięli nagrody Rauschenbusch, bar. Schanzler i Wenk z Lipska. Gordon-setter był tylko jeden godzien nagrody, pies należący do ks. Parmy.

Liczne, a tu i owdzie bardzo dobre, były settery irlandzkie; przeważną ich część wystawiła znana psiarnia p. F. X. Plebana z Wiednia. Było też kilka okazów wyżłów twardowłosych, griffonów, wystawionych przez leśniczego Steinitza z Zirnau w Czechach. Jednego włoskiego twardowłosego wyżła, *bracco spinone*, wystawił p. G. Gabler z W. Neustadt.

Spodziewam się, że od wymieniania i opisywania uprzywilejowanych próżniaków, którzy się psami zbytkowymi zowią, uwolnicie mnie z przyjemnością.

Nagród rozdano wielką mnogość, bo aż 298, a sposób ich rozdania wywołuje przestrogę, ażeby jurorowie na przyszłość, oceniając psa, nie znali nazwiska jego właściciela, bo będą się mniej powodowali uprzejmością dla osoby.

Nakoniec jeszcze jedna uwaga. Czy gal. Towarzystwo łowieckie nie mogłoby kiedy wystawy psów urządzić? Na r. 1894, pod sympatycznem przywództwem ks. A. Sapiehy, projektowaną jest we Lwowie powszechna wystawa krajowa. Przypominam więc, że powinnibyśmy raz dobrą wystawę psów urządzić, a jestem pewien, że się nie powstydzimy.

J. M.

KRONIKA.

Redakcya „Łowca“ (plac Halicki 10) przyjmuje do końca sierpnia prenumeratę na **kalendarz łowiecko-rybacki i leśniczy na rok 1893.** Kalendarz ten, w formacie kieszonkowym, ozdobnie oprawny i zaopatrzony w urządzoną odpowiednio część notatkową na prowadzenie dziennika łowieckiego i lasowego, zawierać będzie, jak zwykle, bogatą treść statystyczną, informacyjną i literacką.

Cena w prenumeracie do końca sierpnia 1 zł. wa. Kalendarz opuści prasę z końcem września, poczem cena jego wynosić będzie **1 zł. 20 ct. wa.** Prenumeratorowie otrzymają kalendarz franco.

Te Towarzystwa łowieckie, które nam dotychczas dat swych statystycznych nie nadesłały, upraszamy o przyspieszenie wysyłki, gdyż inaczej musiałyby być w wykazach naszych w kalendarzu pominięte. Przypominamy iż potrzebne nam są: Data zawiązania towarzystwa, cel, organizacya, liczba członków, teraźniejszy skład zarządu (imiennie, pismem wyraźnem), opis terytoryum łowieckiego, zarządzenia tyczące się ochrony i hodowli zwierząt łownych, oraz wynik gremialnych polowań ostatniego roku.

Walka pszczół z bocianami. We wsi Glasow koło Dargunu odbyła się szczególna walka bocianów z pszczołami. Rzecz miała się jak następuje. W jednej z tamtejszych zagród znajdował się pień pszczół, które, chcąc się dostać na pobliskie pole zasiane rzepakiem, przeciągały zwykle nad stodołą, na której miała swe gniazdo para bocianów z trzema młodymi. To latanie tam i napowrót i brzęczenie pszczół nie podobało się starym bocianom, przeto postanowiły zmusić je do zmiany drogi i zaczęły biedne pracownice łapać i dusić. Rozgniewane tem pszczoły zebrały się w znacznej ilości i napadły na gniazdo bocianie, kłując zawzięcie swemi żądłami młode i stare, które nadaremnie bronić się usiłowały. Walka z każdą chwilą stawała się zaciętszą, a świeże gromady pszczół przybywały ustawicznie. Nagle zjawiły się posiłki bocianie. Trzynaście bocianów przybyło w pomoc napadniętym, ale wszelkie ich usiłowania były bezskuteczne. W końcu pszczoły opanowały plac boju. Trzy młode bociany legły trupem, reszta uciekła, a tak zupełne zwycięstwo odniosły pszczoły.

Si non e vero... Niemcom nie zawsze można wierzyć. *Die grüne Gilde* tak jest kutą w myśliwskiej łacinie, że łże jak z nut. Pod tem więc zastrzeżeniem powtarzamy za celowieckiem *Weidmannsheilem* następującą historyjkę z pod Sybina (Hermanstadu).

„We wrześniu zeszłego roku ubił pewien myśliwy p. M. przed legawcem zajęczycę, która, jak się później pokazało, była już na okoceniu. Gdy ją rozpruto, znaleziono cztery młode, z których trzy, gdy je na murawie położono, zaczęły się ruszać, słupka stawać a nareszcie i podskakiwać. Czwarte było nieżywe. Pan M. przyniósł żywe zajączki w chustce od nosa do domu, a dr. K., który tam był obecny, wyprosił je sobie, mając zamiar chodować je między królikami. Chciał je podsadzić pod królika, samicę, która właśnie swoje młode karmiła, ale ta nie chciała przyjąć obowiązków mamki. Próbowano tedy karmić zajączki mlekiem z łyżeczki, i to się powiodło, tak, że zajączki rosną wyśmienicie i sprawiają wiele uciechy swym opiekunom. Dodać tu należy, że strzał pogruchotał zajęczycy tylne skoki, a wyżeł ją dodusił.“

Podstęp amerykański. W Stanach zjednoczonych północnej Ameryki płacone są z urzędu premie za ubicie wilka. W ostatnich czasach dostarczano szczególniej dużo nosów wilczych w stanie Minnesota z żądaniem premii, a przedewszystkiem dostarczał ich obywatel Jan Rasmussen. Zwróciło to uwagę na siebie, i zarządzono badanie przez znawców, jakie to wilcze skalpy p. Rasmussen dostawia. Otóż pokazało się, że skalpy te nie pochodzą z wilków lecz z lisów, i że obywatel Rasmussen od dłuższego już czasu chodował lisy na tę spekulacyę i od władzy powiatowej 246 dolarów za ten przychowek wyłudził.

Pojedyncze numera „Łowca" nabyć można po cenie 50 ct. w. a. za numer w handlu broni p. Alfreda Dzikowskiego we Lwowie ulica Karola Ludwika L. 1.

Sekretarz i Skarbnik gal. Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** plac Halicki 10.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.